ZDZISŁAW DĘBICKI

MIASTECZKO

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

1912

P

MIASTECZKO

TEGOŻ AUTORA:

EKSTAZA. Poezje. Lwów, 1898.

NOCE BEZSENNE. Poezje. Lwów, 1900.

ŚWIĘTO KWIATÓW. Poezje. Lwów. 1904.

KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE. Poezje. Lwów 1907.

OJCZE NASZ. MODLITWY WIECZORNE. Lwów, 1907.

OGLĄDAM SIĘ ZA SIEBIE. Poezje. Warszawa, 1912.

WYBÓR POEZJI. Warszawa, 1912.

TA, CO NIE ZGINĘŁA (wspólnie z Edwardem Słońskim). Warszawa. 1915.

KSIĄŻKA I CZŁOWIEK. Warszawa 1916.

ZDZISŁAW DĘBICKI

MIASTECZKO

„Każdy zakątek świata czeka na ludzi dzielnych, którzyby go zamienili w miłą siedzibę ludzką".

Nixon Waterman.

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

Geprüft und freigegeb. durch die Kais. Deut. Presseverwaltung.
Warschau, den 30/8 1917. T. Nr. 6968 Dr. Nr. 619.

POLITECHNIKA ŚLĄSKA
BIBLIOTEKA GŁÓWNA
w Gliwicach

147 445

DRUK. WŁ. ŁAZARSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA 114.

NA GRUZACH I POGORZELISKACH. ODBUDOWA I PRZEBUDOWA.

Z większych miast Polski ofiarą wojny padł jeden tylko Kalisz.

Krwawe, miażdżące koła jej rydwanu zawadziły wprawdzie o Lwów, Warszawę, Łódź, Wilno, ale nie uczyniły im krzywdy znaczniejszej.

Obronną ręką wyszły także z chwilowych opresji miasta gubernjalne i powiatowe.

Natomiast całym ciężarem swoich klęsk legła wojna na długim szeregu miasteczek polskich i litewskich.

Nie szczędziły ich ani pociski armatnie, ani płonące żagwie uchodzących wojsk rosyjskich. Świadczą o tem liczne w kraju ruiny kościołów małomiejskich swoim melancholijnym wyglądem obecnym. Mówią o tem rozwalone ściany domów, kominy na pogorzeliskach, sterczące smutnie ku niebu, jak maczugi bożego gniewu, stosy kamieni i cegieł wśród popiołów i zwęglonych zgliszcz, stanowiących niemal wszystko, co pozostało. Skromne mienie swoje ludzie albo zdołali wywieźć na czas, albo oddali je z konieczności na pastwę pło-

mieni i rabującego żołdactwa. W każdym razie, za powrotem, nie zastali nic, oprócz ruiny.

W tych warunkach ogromna większość naszych miasteczek, mimo nawet że uniknęła losu Sochaczewa i Przasnysza, przedstawia obraz bardzo żałosny.

Wprawdzie nie krzepiły one i przedtem oka dostatkiem i zamożnością, nie były ogniskami wyższej kultury i siedliskami ludzi, pracujących świadomie dla tej kultury, wprawdzie rola ich była nieskończenie mniejsza od roli, jaką małe miasta i miasteczka odgrywają w Niemczech, we Francji, w Belgji, we Włoszech i wogóle na Zachodzie, to jednak w ekonomiczno-społecznem życiu naszego kraju stanowiły one ogniwa, bez których nie można będzie spiąć tego życia na nowo.

Wystarczy przypomnieć, że chociaż Królestwo Polskie według statystyki urzędowej liczyło tylko 116 miast, to jednak do liczby tej należy dodać jeszcze 358 miasteczek, które na mocy ukazu z dn. 1 czerwca 1869 roku i kilku późniejszych rozporządzeń przemianowane zostały na t. zw. *osady* (po rosyjsku: *posady*) i włączone do gmin wiejskich.

W ten sposób otrzymamy dopiero liczbę właściwą 116 + 358 = 474.

Jeżeli zaś od liczby tej odejmiemy 43 miasta większe z ludnością ponad 10,000, to otrzymamy liczbę 431, odpowiadającą rzeczywistej liczbie naszych „miasteczek" w obrębie samego tylko Królestwa.

Wśród tych 431 miasteczek polskich nie było zapewne ani jednego, które mogłoby sobie rościć prawo do miana ogniska kultury w znaczeniu nowoczesnem.

Były to specyficzne skupiska ludzkie, o charakterze odrębnym, wytworzonym przez warunki naszego rozwoju dziejowego naprzód w epoce państwowości własnej, potem w epoce, kiedy szczątki tej państwowości były konsekwentnie rujnowane przez rząd zaborczy.

Kojarzyły się w nich i przeciwstawiały sobie dwa pierwiastki. Pierwiastek przeszłości w postaci zabytków architektonicznych, jak stara kolegiata w stylu romańskim, klasztor renesansowy lub barokowy, kilka pamiątkowych kamienic w rynku, ratusz albo dom zajezdny z „podcieniami", które to zabytki świadczyły o lepszych, „dawnych" czasach — i pierwiastek teraźniejszości, który mówił o zniszczeniu, opuszczeniu, zaniedbaniu i zupełnym nieraz upadku kulturalnym miasteczka, wiodącego śpiące, mizerne życie, niesłychanie dalekie nie już od ży-

cia miast na Zachodzie, ale nawet — większych środowisk samego Królestwa.

Mieszkaniec tych środowisk, a zwłaszcza mieszkaniec Warszawy, o ile losy zaprowadziły go do miasteczka, ulegał uczuciu nieprzyjemnego zdziwienia.

— Jakto?—zadawał sobie pytanie.—Tak blizko Warszawy, tak blizko linji kolejowej, w epoce ułatwień komunikacyjnych i szybkiej wymiany nietylko towarów, ale i myśli pomiędzy ludźmi, tysiące Polaków mogą i muszą w takich warunkach istnieć, żyć, mieszkać, pracować, trawiąc całe dziesiątki lat wśród brudu, śmiecia, walących się domów i trzody, spacerującej po błotnistym rynku — i wszystko to bez protestu, z uczuciem biernej zgody na to, że tak jest i tak być musi, z uznaniem faktu istniejącego za nieodwołalny wyrok losu, z którym zgodzić się trzeba.

Któż z nas bez uczucia tej melancholji stąpał po ulicach naszych przysłowiowych Pacanowów i Rypinów?

Kto nie uczuwał wstydu i wyrzutu za taki wygląd „prowincji"? Komu nie przychodziło na myśl uczucie, z jakiem patrzeć musiał na tę biedę i nędzę naszą, na to kulturalne uwstecznienie Polski w porównaniu z innymi krajami,

przybywający do nas cudzoziemiec, choćby nim był nawet żołnierz obcej armji, przyczyniający się bezwzględnem swojem zachowaniem do jeszcze większego zniszczenia.

Cóż bowiem miał tu uszanować? Co miał otoczyć opieką? Czego bronić przed zniszczeniem?

Czy tych zmurszałych od wilgoci, pokrytych grynszpanami mchów, zapadających się dachów na domach przygarbionych, nizkich, napół wrośniętych w ziemię?

Czy tych brudnych, bez żadnego smaku postawionych, zamieszkanych przez biedną ludność żydowską „kamieniczek“ jednopiętrowych, bez wczoraj i bez jutra?

Czy wreszcie nielicznych „zabytków“ w postaci ginącego echa dalekiej, coraz dalszej, trudnej już do związania z teraźniejszością, niemal obcej dla wielu, przeszłości?

Sentyment dla tych opuszczonych, zrujnowanych, brudnych ognisk naszego życia prowincjonalnego mógł istnieć tylko w duszy poety lub malarza.

Trzeba było patrzeć na to oczyma Siestrzeńcewicza, aby odnaleźć swoiste piękno ciasnych zakamarków „miasteczka“, po którego wązkich ulicach tłucze się dworski powóz albo sunie, jak arka Noego, pękata bryka żydowska w dzień

jarmarczny, pełen ruchu i wrzawy, budzącej ze snu osowiałą zwykle i leniwą ludność.

Człowiek, usposobiony realnie i realnie patrzący na życie, mógł tu raczej przypomnieć sobie tylko gorzkie słowa Wawrzyńca Surowieckiego i z nim razem biadać:

„Czemuż tam, gdzie ongi w ludnych osadach miast panowało życie, wesołość i dostatek, czołga się dziś smutek, nędzą i śmierć wybladła?

Okazałe zabytki dawnego ich przepychu leżą teraz w okropnych zwaliskach, zasłane brudami i wiecznym barłogiem. Stek obmierzłych gadów, gotując w nich jady, truje dziś naokoło zdrowe powietrze i zabija znikczemniałe wnuki w samych przybytkach wygód i szczęścia ich przodków“.

Zaiste, nie odbiegły nasze miasteczka daleko od stanu, na jaki w tych jaskrawych słowach zwracał za Księstwa Warszawskiego uwagę rodaków autor, tak samo dziś, jak wówczas aktualnej rzeczy „O upadku miast w Polsce“, bo oto jak w z górą 100 lat potem Stefan Żeromski charakteryzuje „polskie miasteczko powiatowe“ *):

---

*) Stefan Żeromski. Walka z szatanem. I. Nawracanie Judasza, str. 117 i n.

„Było to miasto powiatowe, o ludności, nie dosięgającej liczby 10,000 dusz, w czem gminu izraelskiego więcej znacznie — jak to mówią — niż go zawiera całe państwo Holandja. Ludność polska składała się z drobnomieszczan i rzemieślników, którzy byli zarazem rolnikami. Handel był w rękach żydowskich. Ta ludność żydowska miała w swej głębi tłum proletarjatu, pozostającego, właściwie, bez żadnej pracy, zatrudnionego czemś, co trudno jest określić. Nienaski (bohater powieści), po swem przybyciu do miasta, zaczął badać pilnie kwestję istnienia owych biednych Żydów. Czynił to bez cienia nizkiego antysemityzmu, w celu zrozumienia sprawy. Przedewszystkiem, w kryjówkach żydowskiej nędzy, której żadne nie opisze pióro, znalazł endemię tyfusu i innych stałych, tamtejszych chorób. Rzucił się z tem do miejscowych lekarzy, uczynił wielki rwetes... Ci go poklepali po ramieniu i, ucałowawszy serdecznie w obadwa policzki za ten „poczciwy starostudencki filosemityzm“, przeszli nad rewelacją do porządku dziennego.

Tak „załatwiwszy“ tę sprawę, Nienaski począł badać żydowskie sfery zamożniejsze i sam handel. Oglądał kolejno sklepiki w ulicach, (właściwie w „wyboicach“), biegnących z ryn-

ku ku działkom rolnym miejskich „gulonów“. W jednym z takich sklepików znalazł jakie ćwierć sążnia porąbanego drzewa na sprzedaż, nieco sztabikowego żelaza, wartości pięciu rubli, na półkach trochę koziků, kłódek i gwoździ, a pod sklepem stoliczek, nakryty jakąś ścierką, — na nim balon z wodą sodową, prażącą się na słońcu, obok zaś słoik z „sokiem malinowym“. Po gruntownem zbadaniu wszystkiego okazało się, że kapitał zakładowy tego interesu wynosił w sumie około 20 rubli. Zyskami z obrotów żywiła się rodzina, złożona z kilkunastu osób. Osoby te były zielone, długonose, pochyłe i wychudłe. Jeden z młodych Żydków, siedzący przy soku malinowym, nie mówił wcale i nie rozumiał po polsku. Powiedziano, że jest „uczony“. Ten „uczony“ miał oczy zamglone z anemji, z głodu systematycznego czy z gorączki, charkał po kątach „sklepu“ krwią i wałęsał się bezsilnie między jego gratami. Takich oficyn handlu, jak opisana powyżej, było około dziewięciu. Niektóre z nich miały towaru za dwadzieścia parę rubli — dwa, czy trzy dosięgały do pięćdziesięciu rubli kapitału obrotowego. Trafił się jednak przy końcu miasta interes wartości dziewięciu czy dziesięciu rubli, nie przynoszący handlującej rodzinie żadnego zgoła zysku“.

Oto jest przerażający swym realizmem obraz „struktury społecznej i ekonomicznej“ miasteczka polskiego, wiodącego swój anemiczny, straszny, opłakany żywot w kraju „zabitym deskami“, pozbawionym dopływu świeżego powietrza nie już z szerszego świata, ale choćby stamtąd, gdzie ludzie mają elementarne tylko pojęcie o porządku, zdrowiu, o prawie płuc ludzkich do oddechu, a żołądka ludzkiego do nasycenia.

Kiedyś, przed laty, na wystawie hygienicznej w Warszawie, p. Br. Koskowski prezentował zdumionym widzom zbudowany przez siebie model mieszkania rodziny żydowskiej w Tyszowcach, w lubelskiem. Krew ścinała się w żyłach na widok tej „prawdy“, nie ubarwionej niczem, nie odbitej w lustrze wyobraźni artystycznej, jak u Żeromskiego, ale ujętej pozytywnie, przedstawionej metodycznie w sposób przedmiotowy, nie nastręczający żadnych wątpliwości.

Takie mieszkania przeludnione, gdzie ilość stóp sześciennych powietrza nie znajduje się w żadnym stosunku do ilości mieszkańców, gdzie podczas miesięcy zimowych niema wentylatora, odprowadzającego kwas węglowy a doprowadzającego tlen do izby mieszkalnej, gdzie

człowiek cywilizowany wzdryga się na myśl o spędzeniu w podobnych warunkach jednej tylko doby, jednej nawet godziny,—są do dzisiaj typowemi dla naszych małych miasteczek mieszkaniami nietylko w lubelskiem, ale, z bardzo nielicznymi wyjątkami, na całej przestrzeni naszego kraju.

I kto wie, czy wojna nie wyrządziła tym właśnie miasteczkom dobrodziejstwa, oddając na pastwę płomieni całe ich ulice, zgładzając je nawet z oblicza ziemi! Kto wie, czy nie będziemy kiedyś błogosławili tego „dzieła zniszczenia“, o ile w następstwie da ono początek wielkiemu „dziełu tworzenia“?

Architektura polska krząta się już dokoła tego żwawo. Hasło „odbudowy“ kraju, a więc i odbudowy „miasteczek“ znalazło szeroki oddźwięk we wszystkich sferach społeczeństwa, znalazło poparcie czynników obywatelskich, a znajdzie także w przyszłości z pewnością oparcie o prawowitą władzę krajową.

Według tych planów i projektów, które zarysowują się już dzisiaj, mniemać wolno, iż nietylko zostanie uszanowane to, co pozostawiła nam po sobie, jako zabytek szacowny lub pamiątkę cenną przeszłość, że zburzone świątynie, gmachy poklasztorne i kamienice histo-

ryczne, tam gdzie istniały, zostaną z całym pietyzmem rekonstruowane, ale że rekonstrukcji tej doczeka się także ogólny układ architektoniczny naszych miasteczek, że przywrócone im zostaną dawne charakterystyczne rynki z typowemi dla tych rynków składnicami towarów w domach z podcieniami, z jeszcze typowszemi „Sukiennicami“, stojącemi w sercu samego rynku, z „Kazimierzowskim“ lub „Zygmuntowskim“, przypominającym stare zbory arjańskie, czworokątnym z wspornikami ratuszem, gdzie znów zasiądą, jak niegdyś, wolne, z wyboru mieszczan, kupców i rzemieślników powołane do rządzenia „rady miejskie“ z burmistrzem na czele.

Jeżeli jednak dobra wola, wysiłek i genjusz narodu dokonają tego szczęśliwie, jeżeli kamień i cegła nadadzą mocy, trwałości i wyglądu estetycznego naszym „miasteczkom“ — to i wówczas jeszcze dopiero połowa oczekującej nas odbudowy i przebudowy zostanie odrobiona. Druga połowa wymagać będzie jeszcze większego wysiłku i na lata całe rozłożonej — rozumnej, przewidującej, ostrożnej pracy gospodarczej w kraju, dźwigającym się do nowego życia.

Ta druga połowa — to przekształcenie całego społeczno-ekonomicznego ustroju naszych „miasteczek“, wprowadzenie do ich wapniejących tęt-

nic zdrowej, odradzającej krwi, która albo tętnice te rozsadzi, albo odmłodzi je i nada im tyle, ile potrzeba, prężności do wytrzymania ciśnienia, odpowiadającego zmienionym warunkom istnienia.

Bo nie łudźmy się! Jeżeli warunki te zmianie zasadniczej nie ulegną, jeżeli miasteczko nasze, odbudowane z gruzów i tylko pod względem architektonicznym uporządkowane i „ucywilizowane", nie przerodzi się jednocześnie wewnętrznie, nie wyda na świat nowego typu obywatela, to rychło powróci w niem wszystko do dawnego stylu. Brud i niechlujstwo okryją swoją wstrętną patyną nowo wzniesione budowle, zanieczyszczą je i zarażą, a odwieczne nawyknienia gnieżdżącego się tam proletarjatu żydowskiego zatrują dokoła siebie powietrze i uczynią z miasteczka polskiego ten sam potworny dziwoląg antykulturalny, z jakim mamy do czynienia dzisiaj.

Wchodząc w nowy okres naszego życia, musimy już u jego progów otrząsać proch i pył, który przylgnął do stóp naszych na wydeptanym przez naród gościńcu niewoli. Musimy oczyścić siebie i kraj cały z pozostałości po tej rozpaczliwie smutnej, beznadziejnie szarej epoce, która nauczyła nas rezygnacji i wtrąciła w apa-

tję i bezwład miljonową ludność naszych miasteczek, o wyjątkowem w Europie opuszczeniu, nędzy i zacofaniu.

Miarą najlepszą tego kontrastu, jaki zachodził w tym względzie pomiędzy „Europą“ w znaczeniu cywilizacyjnem a Polską w znaczeniu jej nieszczęścia dziejowego, są nasze własne wrażenia z niedawnej przeszłości i z bolesnej teraźniejszości, w której obliczu stoi kraj, zniszczony i stratowany wzdłuż i wszerz przez wojnę obecną.

Kto z nas nie przechowuje w pamięci owych chwil wyjątkowego przygnębienia, kiedy powracając z zagranicy stawał oko w oko z nędzą Polski, kiedy musiał mimowoli porównywać niemieckie Katowice i Mysłowice z polskim Sosnowcem lub pruskie Iłowo z polską Mławą i dochodził do wniosku, że tam jest *niebo*, a tu już nie „ziemia“, ale *piekło* prawdziwe.

Ileż przykrego uczucia doznawaliśmy na widok czarnej masy chałatowego żydowstwa, panującego na pogranicznych stacjach, obcego nam duchem, językiem, gestem, czyniącego nerwowy harmider dokoła siebie, rażący przedewszystkiem nas, Polaków, a jednak mówiący każdemu przybyszowi obcemu za pośrednictwem pierwszych, silnych, nie do wydarcia z pamięci

wrażeń, że to jest *Polska*, że to są jej charakterystyczne cechy, że to jest ludność jej handlowa, ludność jej miast i miasteczek, pracująca dla „dobrobytu i kultury“ kraju.

Jak bajka, jak fantasmagorja wyglądały wówczas, w tej chwili bezpośredniego zetknięcia się z rzeczywistością polską, dowiezione przez nas szczęśliwie i bez zamącenia do samej granicy, wspomnienia z Niemiec środkowych, z nad Renu, z Szwajcarji, z Austrji górnej, z Tyrolu, z Belgji i Holandji, z Francji południowej, a nawet z Włoch, gdzie w zieleni winnic, tarasami spadających z gór jasnych i rozsłonecznionych, kąpią się białe mury małych „miasteczek" o swoistej, starodawnej kulturze, o bogatej przeszłości i o żywych, nietajonych dążeniach do lepszej przyszłości skroś niepoczesną nawet tu i owdzie swoją teraźniejszość, z której wyłamuje się cały naród przez renesansowe rozprężenie ramion do podjęcia pracy, przygotowującej zjednoczoną Ojczyznę włoską do zadań i ciężarów wielkomocarstwowych.

Na tem tle dopiero widać, jaki ogrom pracy jest przed nami, ile mamy do zrobienia w zakresie tworzenia i rozprowadzania po kraju tych elementów kultury, na których, jak na fundamencie, oprzeć się dopiero może dalsza budowa narodu.

Pokolenia całe, zdając sobie z tego sprawę — a nie zdawać jej sobie nie mogły, patrząc na te kontrasty—załamywały bezsilnie ręce i grzęzły w trującym dusze pesymizmie. Gdzieniegdzie ledwie jakaś wybitniejsza inteligencja, jakiś rwący się do czynu indywidualizm o romantycznym podkładzie, usposabiającym do zmagania się na nierówne siły, rozpoczynał „syzyfową walkę" z narosłym na powierzchni życia małomiejskiego grzybem zastoju. Grzyb jednak okazywał się zwykle silniejszym. Odczyty, pogadanki, kółka rolnicze, kooperatywy, nieśmiałe próby wytwarzania i organizowania opinji publicznej, przedsiębrane przez księdza, lekarza lub uspołecznionego farmaceutę prowincjonalnego, napotykały zwykle albo opór nie do przełamania, albo tam, gdzie zyskiwały podatniejszy dla siebie grunt, bezapelacyjną opozycję władzy, upatrującej w obudzeniu się miasteczka siłę, wrogą dla państwa, niebezpieczną dla istniejącego porządku rzeczy, a więc domagającą się zdławienia w samym zarodku.

Odbywało się tedy konsekwentne dławienie wszystkiego, co wychylało głowę ponad powierzchnię tego cuchnącego, obrzydliwego bagna, pokrytego grubą warstwą zielonej nieprzenikliwej rzęsy, której żadna moc nie mogła

rozgarnąć i zmusić do wychylenia z poza swojego kożucha jasnego skrawka czystej wody, w której mógłby się odbić słoneczny, pogodny błękit nieba.

Z pogody tego nieba korzystały jedne chyba kozy żydowskie, spokojnie skubiące trawę u wjazdu do miasteczka na stromych stokach rowów przydrożnych. Pozatem nikt i nic.

Tem większe ma przed sobą zadania pokolenie, które, wyszedłszy z dotychczasowej ciemnicy więziennej życia polskiego, stanie na wszystkich jego placówkach, zajmie wszystkie jego posterunki i rozpocznie zdobywanie tej twierdzy ciemnoty i upośledzenia, ufne, że uczyni w niej rychło wyłom, przez który wedrze się w jej obręb zdobywcza falanga „nowych ludzi" i zatknie tam sztandar „nowego życia".

GŁOS PRZESZŁOŚCI.

Wskutek katastrofy rozbiorowej cała nasza przeszłość państwowa została zasypana popiołem niepamięci, jak Herculanum i Pompei. Z pod popiołu tego musimy dzisiaj za pomocą cierpliwych badań naukowych wydobywać na jaw szczątki wielkości Rzeczypospolitej i w obliczu ich stajemy niejednokrotnie olśnieni, patrząc w zdumieniu na pomniki naszej dawnej chwały, na ślady widome naszego dorobku wiekowego, którego ciągłość tak nagle została przerwana.

Nietylko jednak na pożółkłych kartach ksiąg i rękopisów prowadzić trzeba te studja odkrywcze.

Niejedno Herculanum i Pompei znajdzie się także na powierzchni ziemi polskiej w postaci jej zrujnowanych miast i miasteczek, których szczątki mówią nam o zgoła innej przeszłości.

„Kruszwica, nędzna dziś mieścina z 19 chałup złożona — pisał przed stu laty W. Suro-

wiecki *) — ukazuje w daleko pod ziemią rozciągających się brukach i fundamentach kosztownych niegdyś domów, że warta była być siedliskiem książąt polskich".

„Niemasz pewnie miasta — mówi ten sam autor — któreby więcej wskazywało dziś jeszcze epok szczęśliwych i nieszczęśliwych swych przemian, jak Bydgoszcz. Wszędzie i w znacznej odległości od jego obwodu znajdują się tam głęboko pod ziemią mury kosztownych niegdyś domów i sklepów, które dowodzą dawnej jego obszerności i bogactw, a trzy szychty pięknych bruków ukazują kolejny wzrost jego i upadek. Pierwsza z tych szycht leży o kilka łokci pod ziemią, druga o dwa łokcie niżej, a trzecia o trzy łokcie pod drugą, tak, że się ta ostatnia znajduje o 7 łokci pod powierzchnią. Przed niedawnym czasem (epoka Księstwa Warszawskiego), gdy tam zakładano młyn nad Brdą, odkryto obszerne mury dawnego gmachu, które odgrzebawszy, znaleziono różne sprzęty i stemple menniczne, toż srebra w sztukach i blachach gotowych do wybijania na kilka tysięcy talarów".**)

*) W. Surowiecki. O upadku miast w Polsce. Wyd. Bibl. polskiej K. Turowskiego, str. 118.

**) Ib., str. 122.

Te dwa przykłady, zanotowane przez niezastąpionego do dzisiaj autora rzeczy „O upadku miast w Polsce", rzucają aż nadto wyraźne światło na kontrast, jaki zachodzi pomiędzy teraźniejszością a przeszłością.

Dziedzictwo nasze, rujnowane konsekwentnie od połowy wieku XVII-go, naprzód przez wojny kozackie i szwedzkie, przez towarzyszące im pożogi i rabunek, potem przez ogólny rozstrój życia państwowego i gospodarczego, uszczuplało się z wieku na wiek. Ślady jednak zamożności, dobrobytu i bogactwa leżących dzisiaj w ruinach miast i miasteczek polskich na całej niemal przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej są jeszcze dość wyraźne, aby można było iść za ich przewodem i na ich podstawie rekonstruować nawet odległą przeszłość oblicza naszej ziemi, czy w Wielko- czy w Małopolsce, czy na Mazowszu, czy wreszcie na Litwie i Rusi. Wszędzie znać jeden i ten sam pochód zdobywczy kultury polskiej, która krok za krokiem szła naprzód, oglądając się za siebie tylko po to, aby brać co najprzedniejsze i co najlepsze wzory z Zachodu. Styl romański, gotyk, renesans, barok i *empire* znaczą się wyraźnie na ziemi naszej, znaczą się jednak nie *naśladowczo*, ale *indywidualnie, narodowo,*

tak, że „architektura nasza — jak słusznie mówi St. Szyller *) — pomimo wielorakich wpływów postronnych, posiada tyle cech swej odrębności narodowej, tyle elementów, płynących z odwiecznej tradycji polskiej, że uważać ją musimy stanowczo za wyraz kultury polskiej, za *architekturę polską* z takiem samem prawem, z jakiem inne narody europejskie uważają za swoją architekturę narodową różne odcienie romańskiej, gotyckiej lub renesansowej ogólnoeuropejskiej architektury".

Tu doszliśmy do punktu, o który możemy się zahaczyć.

„Kultura polska", „kultura narodowa" miała w przeszłości jedno tylko oparcie o warstwę, która stanowiła wówczas naród. Była to kultura *szlachecka*, wytworzona przez stany uprzywilejowane, na których czele stał król i duchowieństwo.

Te trzy czynniki: król, kościół i szlachta, zwłaszcza szlachta wielkopańska, zgrupowana dokoła dworu królewskiego i stolic arcybiskupich, stanowiących główne ośrodki kultury nietylko umysłowej i duchowej, ale także obycza-

*) Stefan Szyller. Architekt. Czy mamy polską architekturę? Warszawa, 1916. Wydanie Koła Architektów.

jowej w najszerszem znaczeniu pojęcia „obyczaju narodowego“ — szły ręka w rękę w pracy budowania nietylko państwa polskiego, jako struktury mocarstwowej, ale i w dosłownem *budowaniu* Polski, we wznoszeniu jej zamków, grodów obronnych, miast, miasteczek, wsi i dworów.

Rozpędem tej kultury, jej mocą i daleko sięgającemi aspiracjami, dźwignęła się Polska i przeszła z rąk Piastów do rąk Jagiellonów, jako dziedzictwo potężne, pełne chwały i zasobów na jutro. Panowanie obu Zygmuntów zasoby te pomnożyło, dodało im poloru i blasku i uczyniło z Polski państwo nietylko rozległe pod względem obszaru, ale i pracujące na równi z innymi oświeconymi wówczas narodami na rzecz ogólnego dorobku cywilizacyjnego. Dorobek ten jednak opierał się w dalszym ciągu na tych samych tylko trzech czynnikach zasadniczych i nigdy nie stał się dorobkiem *całego narodu.*

W ten sposób z mocy Polski urastała jej słabość, z jej potęgi rodziła się powoli jej klęska, aż urodziła się z chwilą, kiedy puścizny po królu, duchowieństwie i szlachcie nie mogły ująć ręce mieszczaństwa i ludu, zgoła do podjęcia tego ciężaru nieprzygotowane.

Było to niewątpliwie jedną z przyczyn dziejowej tragedji polskiej, ale było także — i na to nie można oczu zamykać — przez długi czas jej dyplomem cywilizacyjnym, jej rzeczywiście „wielkopańskiem“ wkupieniem się do grona najzasłużeńszych narodów Europy.

Królom naszym, kościołowi naszemu i szlachcie naszej zawdzięczamy też zbyt wiele, abyśmy — rozgoryczeni nawet późniejszem nieszczęściem Ojczyzny — zapomnieć mieli kiedykolwiek o tem, jakie położyli oni zasługi, jako „budowniczowie“ Polski.

Pracę ich znać wszędzie. Zazębiła się ona o wszystkie tryby naszego życia, zaznaczyła się we wszystkich jego dziedzinach, więc nie dziw, że zapisała się także trwałemi zgłoskami na starych murach kościołów, klasztorów i domów miejskich.

Rozpowszechnione w całej naszej literaturze, dotyczącej miast, jest — tak chętnie oczywiście podsuwane nam i popierane przez uczonych niemieckich — przekonanie, że miasta polskie powstanie swoje i całą kulturę swoją zawdzięczają kolonizacji niemieckiej i utrzymywanej przez nią stałej łączności z Zachodem.

Zapewne — i nikt temu przeczyć nie będzie — kolonizacja ta odegrała w procesie cywilizowa-

nia się i przekształcania według wzorów zachodnich Polski piastowskiej, rolę bardzo wybitną. Ale *nie odegrała roli wyłącznej*, i to z całą mocą musimy naprzód samym sobie, a potem innym powiedzieć, broniąc się przed zarzutem, że nie uczyniliśmy w tej dziedzinie nic własnego.

Owszem, uczyniliśmy dużo, a dowód tej prawdy da się przeprowadzić wymowniej niż przy pomocy źródeł pisanych, przy pomocy architektury.

Kolonizacja jest dziełem XIII i XIV wieku. Wówczas to granice Polski otworzyły się szeroko naprzód dla przybyszów z Flandrji, później dla przybyszów z sąsiednich Niemiec. Powstawały, jak grzyby po deszczu, wsie na prawie niemieckiem. Nowi ludzie przynosili z sobą nowy pogląd na życie i jego ustrój gospodarczy. *Pieniądz i wymiana* stawać się poczęły zasadniczemi podstawami tego ustroju.

Nie wystarczały już dawne targi na „podgrodziach“ i przy kościołach w dni świąteczne. Normalne zaspokajanie potrzeb ludności wiejskiej, przychodźczej, o kulturze wyższej, niż ówczesna kultura rdzennego ludu polskiego, wysunęło na porządek dzienny sprawę miast, których zakładanie stało się rychło naczelnym postulatem polityki ekonomicznej wszystkich ksią-

żąt-piastowiców od Śląska do Mazowsza. Ich wola i ich rozum przewidujący były tedy pierwszą podwaliną, na której budować się poczęły w wieku XIII i XIV polskie miasta według wzorów, przejętych w formie gotowej z Zachodu, a więc przedewszystkiem z Magdeburga, Chełmna pruskiego i Środy na Śląsku. Stąd trzy zasadnicze typy naszego prawa miejskiego: prawo magdeburskie, chełmińskie i średzkie.

„Sposób powstawania miast, czyli ich lokacja — czytamy u St. Kutrzeby*) zupełnie jest podobny do lokacji wsi, oczywiście z temi zmianami, jakie były potrzebne ze względu na inne zadania i cele miasta. Pod miasto pan miasta oddawał grunt odpowiedni, dość rozległy stosownie do wielkości miasta, o ile możności wolny od zabudowań i praw innych osób. To umożliwiało regularne zabudowanie miast, znamienne dla miast polskich. Wytyczano rynek, jako główny plac miasta, od niego prowadzono ulice, których ilość zależała oczywiście od wielkości, jaką miało mieć miasto. Każdy z osadników dostawał t. zw. *area* (dworzyszcze — Hof), t. j. obszar gruntu, na którym mógł stanąć dom. Z tej „area" płacił czynsz roczny (*census*

*) St. Kutrzeba. Historja ustroju Polski w zarysie. Wydanie II, str. 40.

terrestris). Poza tą opłatą nie miał mieszczanin zresztą żadnych obowiązków na rzecz pana miasta. Tym panem mógł być tak książę, jak kościół lub świecki, zależnie od tego, na czyich gruntach miasto się budowało. Najstarsze są miasta królewskie. Później zaczynają się zjawiać i miasta prywatne. Niektóre, małe „miasteczka“ mają cechę napół rolniczą i wtedy obok miejskich jednostek gruntu („area“) znachodzą się w nich i *łany*“.

Zobaczmy teraz, jak się te miasta polsko-niemieckie za Piastów *budowały* w znaczeniu już nie przenośnem, ale ściśle architektonicznem.

St. Szyller czyni słuszne przypuszczenie, że „prawdopodobnie tak, jak obecnie, rząd pruski buduje dla swoich kolonistów całe osady według swego gustu i przez swoich majstrów, podobnie Kazimierz Wielki, ten *budowniczy* Polski (za którego powstało przeszło 70 miast) i jego następcy, budowali dla sprowadzonych kolonistów także według swego gustu i swoimi ludźmi. Tem tłómaczy się fakt, że miasta nasze, pomimo kolonizacji niemieckiej, tworzyły się nie według modły niemieckiej, lecz według typu rodzimego budownictwa polskiego“ *).

*) Stefan Szyller. Architekt. Czy mamy polską architekturę?, str. 32, 33.

Potwierdza to konstytucja r. 1505, która mówi wyraźnie: „Ponieważ miasta od przodków naszych, nietylko dla samych osób, w mieście mieszkających, ale i dla dobra Rzeczypospolitej są fundowane, przeto *poruczamy* starostom, aby tego *doglądali*, żeby się *miasta poprawowały przez budowanie takie, jakie my rozkażemy*". „Poprawowanie" to miało na widoku oczywiście w pierwszej mierze urządzenia obronne, ale sam fakt ingerencji władzy królewskiej w tej dziedzinie stwarza podstawę do wniosku, że istnieć mogła i prawdopodobnie istniała pewna kontrola architektoniczna nad budowlami miejskiemi wogóle, coś, co dzisiaj nazwalibyśmy „ustawą budowlaną".

Wróćmy jednak do wywodów Szyllera. W dalszym ciągu ustala on, że „w powstających osadach miejskich polskie budownictwo ludowe weszło w nową, ewolucyjną swą odmianę. Domy, zszeregowane dokoła miejskiego, zwykle kwadratowego targowiska, ze swych przyźb i ganków stworzyły okalające te targowiska „podcienia", pod któremi znajdowały ochronę od niepogody towary, rozłożone na straganach, co i dotąd praktykuje się po naszych miasteczkach. Te „podcienia", na drewnianych słupkach oparte, stały się motywem architek-

tonicznym, typowym dla miast polskich, spotykanym w rozmaitych lokalnych odmianach na całym obszarze ziem dawnej Rzeczypospolitej. Wiele z nich odznacza się artystycznem obrobieniem szczegółów i bogactwem form. Wiele z tych domów zniszczyły pożary, wiele ustąpić musiało nowym budowlom. Pozostało ich jednak jeszcze bardzo dużo, a im uboższe, im bardziej zapomniane miasteczko, tem częściej odnajdujemy w niem te stare domy podcieniowe" *).

To drewniane budownictwo ludowe stało się materjałem, z którego rozwinęła się nasza kamienna i ceglana architektura *o mniej lub więcej wybitnem piętnie polskiem,* zależnie od tego, czy w danej epoce życie społeczne i polityczne było mniej lub więcej samodzielne, czy też podlegało wpływom obcym.

W każdym razie, zarówno kamień i cegła, jak drzewo, pozwalają stwierdzić, że miast w Polsce nie budowali według swego smaku i upodobań osadnicy niemieccy, ale że wznosił je mularz i cieśla polski, a zwłaszcza ten ostatni, którego siekiera posiadała stare, rodzime tradycje i nawyknienia. Wogóle „rzemieślnik polski" pozostawił po sobie ślad trwały nawet

---

*) Ibidem, str. 44.

w budowlach, które stylem swoim należą do narodów innych, jak świątynie romańskie i gotyckie, gdzie przecież „chrzcielnice polskie“ i okucia żelazne są zupełnie odmienne od tego, co romańszczyzną lub gotykiem zwykliśmy nazywać *).

Któż jednak rzemieślnikowi temu dawał pracę, kto czuwał nad tą pracą, kto ją wyrobionym smakiem swoim sądził i orzekał, czy odpowiada ona potrzebom i pięknu wznoszonego budynku?

Zaiste nie osadnik niemiecki.

Czynili to przedewszystkiem polscy książęta świeccy i duchowni, a potem panowie-comites, jako jedyni podówczas budowniczowie i twórcy życia polskiego.

Z jednej strony ich indywidualny interes materjalny, bo miasto przynosiło w postaci czynszów i opłat handlowych poważne zyski temu, kto je na ziemi swojej osadzał, z drugiej ich potrzeby religijne i kulturalne, rosnące z każdem stuleciem, były bodźcem do podejmowania nowych i coraz to nowych wysiłków w kierunku „budowania“ Polski.

Ileż wspaniałych świątyń i klasztorów, któ-

---

*) Ibidem, str. 58.

re do dnia dzisiejszego są dumą ziemi naszej, zawdzięczamy grzechom szlachty polskiej? W iluż przypadkach ekspiacyjny poryw duszy, obarczonej ciężkiemi winami, stawał się u schyłku życia natchnieniem dobrego dzieła? Ileż tablic erekcyjnych odsłania nam taką właśnie a nie inną tajemnicę początku kościoła lub klasztoru w niejednem miasteczku polskiem?

Już w XII wieku Piotr Włast (Włodimirus), popularnie Duninem na Skrzynnie zwany, buduje, według legendy, „jako wykonanie zadanej mu pokuty", 77 kościołów, a aczkolwiek legendzie tej późniejsze badania zaprzeczyły, dowodząc, że wiele świątyń, które miały być jego fundacji, znacznie później powstało, to jednak na dnie tej bajki leży niezaprzeczalna „ekspiacyjna" dążność magnatów polskich, która znajdowała swój wyraz w wielu ich przedsięwzięciach pobożnych od XII-go aż do końca XVIII-go wieku.

Na przestrzeni tego samego czasu o ileż większym motorem poczynań w zakresie budownictwa były dla możnowadztwa polskiego jego ambicje wielkopańskie, idące w parze z chęcią zdobywania coraz większych środków na zaspokojenie swoich iście królewskich potrzeb i zachcianek.

Poczynając od Kazimierza Wielkiego, do Polski wszystkiemi drogami spływa bogactwo. Skroś ziemię, dotąd krwią nieustannych walk ociekającą, sławną żelaznem rycerstwem i bojami Chrobrych, Krzywoustych i Łokietków, zaczyna teraz płynąć obok krwi także potok złota. Wytwarza go rozgałęziający się handel importowy i eksportowy. Pierwszy, zwabiony dobrobytem, wprowadza do dziedzin piastowskich obce towary, przedmioty wyższej kultury i zbytku, drugi, dla zdobycia środków na zbytek, wywozi pszenicę polską do krajów cudzoziemskich.

Jak się ten handel rozwija, rośnie i jaki wpływ wywiera na miasta, świadczą wymownie dzieje Kazimierza dolnego nad Wisłą, dzisiaj typowego „miasteczka", ongi — potężnego ośrodka handlu polskiego, który słusznie mógł się ubiegać o miano „małego Gdańska". Zjeżdżali tam nietylko kupcy z Gdańska, Elbląga i Torunia dla skupowania pszenicy, ale był czas nawet, że „i Anglicy mieli tam swoją kantorę". *)

Dochody z miasta, czyniącego tak znaczne

---

*) M. Baliński i T. Lipiński. Starożytna Polska. Tom III, str. 267.

obroty, zasilały, oczywiście, nietylko szkatułę królewską, ale były także źródłem zbogacania się rodzin mieszczańskich i — o dziwo — jako rodzinę patrycjuszowską w Kazimierzu Królewskim przekazały nam dzieje nie żadnych potomków osadników niemieckich, ale o polskiem mianie Przybyłów, którzy pod koniec wieku XVI-go słyną tam z dostatków niemal magnackich.

Jeden z nich, Mikołaj Przybyło, posiadał kamienicę, dotąd w rynku stojącą i na ratusz z czasem obróconą, jedną z najpiękniejszych nietylko w Kazimierzu, szczycącym się szeregiem pięknych domów przy ulicach Senatorskiej i Zamkowej, tudzież murowanymi, budzącymi do dziś dnia podziw, śpichlerzami kazimierzowskimi nad brzegiem Wisły, ale bodaj mogącą współzawodniczyć z najprzedniejszemi podówczas kamienicami Krakowa; drugi, Jan Przybyło, prawdopodobnie syn Mikołaja, w r. 1591 wspaniale przyjmował w tej właśnie kamienicy Jerzego Radziwiłła, kardynała biskupa krakowskiego, odbywającego wizytę kościołów. On także własnym sumptem odnowił zniszczony ogniem kościół farny i sam w nim został pochowany w r. 1595, o czem świadczy tablica marmurowa z odpowiednią

inskrypcją, w ścianie kościoła umieszczona. Z kolei synowie Jana Przybyły, Bartłomiej, rajca, i Mikołaj, ławnik kazimierski, wznieśli kosztem swoim osobną kaplicę Zwiastowania Panny Marji, na górze, zwanej Plebańską, i do fary ją przyłączyli. *)

Tak płaciło wdzięczne mieszczaństwo polskie miastom królewskim za swój dostatek.

Nawet w małym Sieradzu Katarzyna Zapieczna, wdowa po „rajcu" miejskim, umierając w r. 1450 zapisuje pół grzywny kościołowi Ś-go Mikołaja na przedmieściu, grzywnę kościołowi Wszystkich Świętych, grzywnę kościołowi Mnichów i pół grzywny kościołowi przy szpitalu. **)

O ileż szerszy po wszystkie czasy gest mieli *comites* kazimierzowscy, oraz późniejsi kasztelanowie i możnowładcy Polski jagiellońskiej i elekcyjnej!

O geście tym dokładnie mówi nam żywot niejednego z magnatów polskich. Dla charakterystyki jednak wyżyn, do jakich gest ten się wznosił, zatrzymajmy się tylko na trzech ty-

---

*) Ibidem, str. 270.

**) Józef Kobierzycki. Przyczynki do dziejów ziemi sieradzkiej. Część II, str. 4.

powych, wybitnych indywidualnościach „Polski szlacheckiej" — Mikołaju i Krzysztofie Szydłowieckich i Janie Zamoyskim.

Nicolaus, quo nihil elegancius — pochlebia pierwszemu słynna *Liber geneseos* rodu Szydłowieckich, zaś autor wyczerpującej monografji o kanclerzu Krzysztofie Szydłowieckim *) dodaje od siebie:

„Jeżeli był *wytworny*, to duch jego nie mógł być obcym pięknu, jak tego zresztą oczekiwać należało u męża, dworzanina naprzód królewica Zygmunta, lubującego się w rzeczach sztuki, a następnie świadka szerokiej mecenasowskiej działalności Zygmunta Starego i całego tego artystycznego ruchu, jaki w pierwszych zwłaszcza trzech dziesiątkach lat kupił się około dworu królewskiego i dworów ówczesnych polskich możnowładców, żeby tylko wspomnieć podskarbiego, Krzysztofa, i serdecznego przyjaciela obu, biskupa Piotra Tomickiego".

Śladem zwłaszcza Zygmunta I, który według świadectwa Deciusa wzniósł na wawel-

*) Jerzy Kieszkowski. Kanclerz Krzysztof Szydłowiecki. Z dziejów kultury i sztuki zygmuntowskich czasów. Poznań, 1912. Tom I, str. 46 i nast.

skiem wzgórzu rezydencję, będącą „podziwem dla świata całego" *), wytężył Mikołaj Szydłowiecki wszystkie swe siły, aby zniszczone lub nawet walące się w swych dobrach kościoły i zamki dźwigać i naprawiać, a upiększać inne. „W rozległych włościach podskarbiego najczcigodniejsze miejsce zajmował kościół św. Zygmuntą w Szydłowcu — *inter alias ecclesias illius territorii Schydlovecensis insignior* — fundacji jeszcze pradziadów, Mikołaja, Jakóba i Sławka. Budowę jego rozpoczęto w r. 1401, zakończono zaś w r. 1433. W kilkadziesiąt lat po ukończeniu budowy restaurował kościół Jakób, dokończył zaś dzieła restauracji Mikołaj Szydłowiecki, wznosząc „boczny dach" oraz obwarowując go *culminibus*".

Dzisiejszy wygląd kościoła pochodzi w głównym swym zrębie z czasów Mikołaja i jego przodków i daje świadectwo nietylko wielkiego smaku, ale i hojnej szczodrości, z jaką go budowano i urządzano wewnątrz.

Hojność Mikołaja Szydłowieckiego nie ograniczyła się jednak do restauracji i upiększenia kościoła w Szydłowcu oraz do budowy tam szpi-

---

*) Decius. De Sigismundi R. temporibus.

tala i kościoła Św. Ducha na miejscu dawnego drewnianego domu ojcowskiego.

W drugim swoim majątku, w Ćmielowie, restauruje Mikołaj w latach 1509—1510 tamtejszy kościół parafjalny, budowę gotycką, jednonawową, o płaskim, drewnianym suficie.

Ale „mecenasostwo" Mikołaja Szydłowieckiego oraz zamiłowanie jego do przepychu, pełnego barw i bogatych ozdób, okazały się dopiero w pełni na budowie zamku w rodzinnym Szydłowcu.

Z jego woli staje „nowy, okazały i jasny gmach", pięknym ozdobiony portykiem, pokryty dekoracją malarską i wogóle z „przedziwną urządzony okazałością".

I nic dziwnego — mówi Kieszkowski — że „jak dbał o kościół i miasto samo, które licznemi wolnościami obdarzał, a nawet postarał się o *zaprowadzenie w niem wodociągów*", podobnie i przodków swoich domostwo „staranną otoczył opieką i świetnością ponad inne zamki i pałace Polski ówczesnej wydźwignął".

Szedł w tym kierunku, zgodnie z prądem, który wytwarzał się na zamku krakowskim, w najbliższem otoczeniu króla.

„Przykład króla, który budował, jak niegdy

Salomon *), działał na otoczenie niby słońce, które rzuca wokoło promienie, ożywia, podnieca i ku niebu podnosi. Poszli tą drogą możni panowie, poszli Szydłowieccy, owi towarzysze lat młodych króla, jego satelici nieodłączni, poszedł Kmita, Bonar i inni. Nietylko Kraków stroił się w zamki i kaplice królewskie, ale i inne siedziby, w których Zygmunt przebywał, więc Niepołomice, więc Piotrków, Lublin, Sandomierz, szczególniej zaś Wilno. Król stawał się sprężyną artystycznego ruchu nietylko w Krakowie, ale i w innych miastach".

Pod tym wpływem Mikołaj Szydłowiecki nabrał swoich — jakbyśmy dzisiaj powiedzieli — „zamiłowań konserwatorsko - architektonicznych".

Zaprowadziwszy wzorowy porządek we własnych dobrach, wziął się z kolei do dźwigania nadpsutych murów zamkowych, czy też do wznoszenia nowych gmachów i przyozdabiania ich mniej lub więcej bogato w nadawanych mu z biegiem lat starostwach.

„Zamek w Radomiu, oddawna zniszczony

---

*) A. Pawiński. Młode lata Zygmunta Starego, str. 201—202.

i do mieszkania niezdatny, zrestaurował i różnemi zabudowaniami upiększył. Stary, drewniany zamek oświecimski w przeważnej części przebudował na murowany; gródecki, grożący zawaleniem się, zupełnie zrestaurował". Zamek w Krzepicach „niemal od fundamentów z cegły wybudował i zrestaurował, chcąc zaś podnieść piękność nowo-wybudowanego gmachu, fasadę jego, jak niemniej komnaty pokrył malarską dekoracją".

Starościńską swoją rezydencję w Zatorze również gruntownie odbudował i wystawił w niej kuchnię z wodociągiem na wzór tej, którą w Nowem Mieście Korczynie u brata Krzysztofa wszyscy podziwiali.

Opuszczony wreszcie, brudny i „napół cuchnący zamek w Olsztynie, podobny raczej do ciemnej jaskini Plutona", w wspaniałą i wdzięku pełną zamienił siedzibę, utworzywszy z niej prawdziwy *przybytek gracji* *).

Oto działalność jednego tylko „możnowładcy" w Polsce renesansowej XVI-go wieku.

A iluż miał on współzawodników wśród współczesnych, na których nie mógł nie wywrzeć przemożnego wpływu czar odrodzenia

---

*) J. Kieszkowski. Op. cit. Tom I, str. 74, 75, 76.

włoskiego, święcącego tryumfy na zamku krakowskim, gdzie pracowali podówczas Francesco della Lora, Antonio da Fiesole, Giovanni Cini, sieneńczyk, i całe szeregi co najprzedniejszych *lapicid'*ów, rzeźbiarzy, architektów i przeróżnych rzemieślników.

Śladami Mikołaja poszedł przedewszystkiem brat jego rodzony, kanclerz Krzysztof Szydłowiecki, najbliższy przyjaciel Piotra Tomickiego, tego bez mała Juljusza II w Polsce zygmuntowskiej.

Miał kanclerz rozległe dobra, kilka rezydencji, było więc gdzie budować, a było także i co z ruiny dźwigać lub choćby tylko upiększać.

„Skoro tylko został właścicielem Opatowa — mówi Kieszkowski*) — zabrał się do restauracyjnych robót około tamtejszej kolegjaty św. Marcina, której był *unicus patronus*. Wprawdzie zaraz po spaleniu kościoła przez Tatarów przeprowadzili biskupi lubuscy, ówcześni jego założyciele, konieczną restaurację jego murów, fasady zaś ozdobili zgrabnymi frontonami zazębionymi, to jednak nie mógł Szydłowiecki, który we wszystkich swych zamkach zostawił

---

*) Op. cit. Tom II, str. 346 i nast.

ślady mecenasowskiej swej działalności, pominąć starożytnego kościoła i nie przyczynić się do zewnętrznego i wewnętrznego jego przyozdobienia. Od zewnątrz więc funduje nowy portal, niewielki, ale pełen dziwnego wdzięku i uroku, jakimi odznaczają się pomniki przejścia z gotycyzmu do renesansu.

O wiele żywszą działalność rozwija w następstwie Krzysztof Szydłowiecki na polu budownictwa świeckiego.

Dźwigając Opatów, zabiera się przedewszystkiem do uporządkowania miasta, do zabezpieczenia go przed napadami Tatarów, którzy w ubiegłych latach raz po raz pożogę i zniszczenie w niem szerzyli. W tym celu opasuje miasto wałem, otacza je murami, oraz czterema ciosowemi bramami. Przez bramy te wjeżdżano do Opatowa od strony Krakowa, Sandomierza, Lublina i Warszawy, skąd od miast tych nazwę swą przybrały.

Na opisanem wyżej „ufortyfikowaniu“ Opatowa nie poprzestał jednak nowy jego właściciel.

„Sprowadzony, biegły rurmistrz, Wacław Morawa, urządził w mieście wodociągi... handel wzmógł się na nowo, przybywali kupcy z Turcji, Grecy zaś mieli swoje składy“ *).

*) Ks. Wł. Fudalewski. Miasto Opatów, str. 20.

Nie w Opatowie jednak lecz w Ćmielowie miał Krzysztof Szydłowiecki swoją rezydencję. Między rokiem 1519 a 1525 wznosi tam „obszerny, murowany, z przedziwną sztuką zbudowany zamek z portykiem, z szeregiem komnat mieszkalnych i sal recepcyjnych. Ściany ich i sufity, jak niemniej fasadę zamku, pokrywa wspaniałą dekoracją malarską — zdaje się — malarz gdański „Piotr“, pozostający w usługach brata Mikołaja" *).

Całość sprawiać miała tak świetne wrażenie, że — jak pisze *Liber geneseos* Szydłowieckich — była przedmiotem podziwu i ciekawości tak swoich, jak obcych, *ut non parum multi tam alienigene quam indigene visendi studio illam (sc. arcem) petunt.*

Nie zapomniał również Krzysztof Szydłowiecki i o powierzonych opiece jego zamkach starościńskich w Nowem Mieście Korczynie, w Gostyninie i w Łukowie.

To zamiłowanie do „budownictwa“ było tak swoiste dla możnowładców tej epoki, że można bez obawy o błąd przypuszczać, że zakładane wówczas obficie przez nich miasta i miasteczka, osadzane na prawie niemieckiem,

---

*) J. Kieszkowski. Op. cit. Tom II, str. 350. 351.

były istotnie *budowane według ich gustu i pod ich kierunkiem.*

Z późniejszym o lat 200 gestem Piotra Wielkiego na fińskich moczarach nadmorskich: „tu będzie miasto ufundowane“, niejeden pan palski kładł już na schyłku wieku XV-go i w zaraniu wieku XVI-go fundamenty pod budowę „swojego“ miasta lub miasteczka, które usilnie starał się w następstwie podnieść drogą wyjednywanych u tronu przywilejów.

Szczytem tej fantazji wielkopańskiej w dziedzinie tworzenia kultury pozostanie na zawsze historja Zamościa.

Oto Jan Zamoyski, kanclerz i hetman WK., „chcąc odpowiednią swojej potędze i zamożności wznieść rezydencję, a razem do obrony kraju przyczynić się skutecznie“, *postanowił* założyć miasto i twierdzę w rodowych majętnościach swych nad Wieprzem.

„Jakoż wezwawszy z Polski i z zagranicy osadników i *pobudowawszy dla nich domy,* po wymurowaniu wprzód nowego zamku dla siebie nad rzeczką Topornicą, wydał w r. 1580 przywilej lokacyjny o iście królewskiem brzmieniu:

„Zbudowawszy przeciw dawnego zamku nowy nad stawem i tam dla czci Boskiej kościół wznieść postanowiwszy, gdy *nietylko dla mojej,*

lecz razem dla moich poddanych, przyjaciół i całego sąsiedztwa wygody i bezpieczeństwa założyłem miasto, które wałami i przekopem otoczyłem, temuż miastu nadaję imię Zamoście nad Wieprzem *(Zamosczie ad Wieprziecz)* dla odróżnienia od poblizkiego przodków naszych siedliska, Zamościa (starego), nieco od rzeki Wieprz oddalonego i leżącego w województwie Bełskiem, powiecie grabowieckim".

Wyraża dalej fundator miasta, że obdarza je „prawem niemieckiem, z warunkiem, żeby się w sporach sądowych nie odwoływano od magistratu do dziedziców, ale do sądu najwyższego magdeburskiego we Lwowie".

Życząc sobie następnie, aby „mieszczanie zajmowali się raczej rzemiosłami niż rolą, która jest wieśniaków zatrudnieniem", mianuje „na ten jeden raz wójta, po którego zejściu mieszczanie już będą mieli prawo wybierać nadal burmistrza, rajców i ławników w obecności dziedzica lub delegowanych od niego".

Mieszkańcy Zamościa, którzy—pragnie fundator—„żeby jednę tylko wiarę rzymsko-katolicką wyznawali", uwolnieni są przez niego wieczyście „od wszelkich robocizn miejskich, od podwód, i od opłaty czynszów i danin na lat 25". Po upłynieniu zaś tej *swobody* płacić

będą dziedzicowi: „z łanu po 20 gr., a na kościół po 6 gr., z poczwórnej roli 10 gr. dziedzicowi, 3 gr. na kościół; z każdego domu w mieście po 6 gr. dziedzicowi, 2 gr. kościołowi, uiszczając się z tych opłat każdego roku w dzień św. Marcina".

W całej rozciągłości potwierdził ów przywilej Stefan Batory w dniu 28 lutego 1585 r. w Warszawie, na walnym Sejmie, przydawszy do tego trzy jarmarki, w Niedzielę po Wniebowstąpieniu Pańskiem, na św. Marcina i na Nawrócenie św. Pawła w styczniu, oraz targ tygodniowy co środę „z porównaniem kupców miast większych polskich, t. j. Krakowa, Gdańska, Elbląga, Poznania, Lwowa, Wilna i Warszawy — „przybywających do Zamościa na jarmarki, co do praw i swobód z kupcami lubelskimi i toruńskimi, którzy już ich wprzód używają".

Mieszczanie Zamościa uwolnieni zostali nadto „od ceł, myt i targowego w całem państwie z wyjątkiem cła pogranicznego", za które pozwolono im płacić ogółem do skarbu co rok złp. 300, ale i to po upływie lat 10".

Zygmunt III cały ów przywilej, dwiema pieczęciami, majestatyczną i mniejszą, obwarowany, uroczyście na Sejmie warszawskim, sto-

sownie do prośby Jana Zamoyskiego, zatwierdził i konfirmację tę własnoręcznie dnia 12 kwietnia 1589 r. podpisał.

Tak wielkie swobody, zapewnione mieszkańcom, ściągnęły wkrótce kilka tysięcy ludzi do miasta, które KOSZTEM ZAŁOŻYCIELA ZAMUROWAŁO SIĘ PODŁUG PEWNEGO PLANU *).

Pomijamy tu dalsze dzieje Zamościa, jego Akademję, jego kościoły, jego wzrost i upadek późniejszy, zatrzymujemy się tylko na tem, co dla nas jest najważniejsze i co raz jeszcze pozwala stwierdzić, że miasta w Polsce budowane były *kosztem właściciela i podług określonego z góry planu.*

O charakterze tych budowli mówi nam dzisiaj jeszcze rynek zamojski. Otaczają go kilkopiętrowe kamienice z „podcieniami", utworzonemi przez arkady, pod któremi są wszystkie sklepy kupieckie, tak, że „cały ten plac obejść można wkoło, nie wychodząc na środek rynku lub na ulicę" — niemal jak w Padwie.

A teraz zadajmy sobie pytanie, czy Zamość stanowił wyjątek na ziemiach polskich?

---

*) M. Baliński i T. Lipiński. Starożytna Polska. Tom II, str. 957, 958, 960.

Zapewne, w tych rozmiarach i w tej postaci poza miastami królewskiemi nie powstało żadne inne miasto w Polsce tak odrazu, za jednem skinieniem ręki wielkopańskiej, na mocy jednego aktu woli twórczej. Ale, o ile idzie o *ambicje twórcze*, to ani Szydłowieccy ani Zamoyski nie należeli do wyjątków. Były to tylko najwybitniejsze indywidualności wśród społeczeństwa szlacheckiego, które niewątpliwie tym samym szło torem, chętnie naśladując wzory, jakimi świecił im król, dostojnicy kościoła i możnowładcy. *)

Świadczą o tem dzieje i ruiny: Zawichostu, Skawiny, Olkusza, Będzina, Lelowa, Wiślicy,

---

*) Jak dalece szlachta w wieku XVI-ym zainteresowana była w rozwoju miast i jak się do rozwoju tego przyczyniała świadczy fakt, iż sama osiadając w miastach i budując tam dla siebie domy, niejednokrotnie „przyjmowała prawo miejskie".

Między innymi, Józef Kobierzycki (Przyczynki do dziejów ziemi sieradzkiej. Część I, str. 6), mówiąc o przeszłości Sieradza, zaznacza, „że do ozdoby miasta wśród zamożnego mieszczaństwa przyczyniają się dwory szlachty okolicznej: Wawrzyńca Paparony Pstrokońskiego, chorążego sieradzkiego, Wojciecha Korabity-Kobierzyckiego, sędziego grodzkiego sieradzkiego, Stanisława Wężyka z Dąbrówki, Jana Solikowskiego, dziedzicznego wójta sieradzkiego, Jana Wy-

Opoczna, Wąwolnicy, Drzewicy, Solca, Siecie-chowa, Osieka, Ostrzeszewa, Wielunia, Krzepic,

---

dzierowskiego, Jana Raczyńskiego i in., którzy *bądź stale mieszkają, bądź z powodu urzędowania posiadają własne domy dla wygody.*

Inni już przyjęli prawo miejskie i zarzucają intytulację *szlachty*, by pisać się *sławetnymi*, jak Trzebiccy, Zawiszowie, Świebody, Mroczki, Barczewscy — natomiast odwrotnie zamożny ród patrycjuszów sieradzkich, Mniszków, w osobie Piotra, syna Jakóba, walecznego rycerza z pod Byczyny, w roku 1588 otrzymuje szlachectwo z herbem Poraj i przyjęty jest do rodu Bużeńskich z Burzenina przez Piotra Bużeńskiego, podskarbiego WKoronnego, dając początek późniejszemu hrabiowskiemu rodowi Mniszków w Galicji".

Również „dostojnym" w Sieradzu jest ród mieszczański Mordalów. Gdy bowiem „Stanisław Mordal popada w chwilowe kłopoty pieniężne, król Zygmunt August mandatem swoim poleca wstrzymać sądy, gdyż syn jego, Kasper, służy wojskowo i wraca do Sieradza, jako szlachetny Mordal Mołodawski, rotmistrz Jego Królewskiej Mości".

Ówczesne stosunki sieradzkie dadzą się rozciągnąć na wiele miast innych, zwłaszcza królewskich, i mówią wyraźnie o tem, jak harmonijnie układać się zaczynały stosunki pomiędzy żywiołem ziemiańskim a zaczątkiem rodzimego mieszczaństwa polskiego, zanim harmonji tej nie zamąciły fatalne w swoich następstwach przeobrażenia gospodarcze i wewnętrzno-polityczne Rzeczypospolitej w tragicznych ramach wieków XVII-go i XVIII-go.

Bolesławic, Przedborza, Brzeźnicy, Sieradza, Rawy, Czchowa, Stawiszyna, Pyzdr, Konina, Koła, Inowłodza, Łęczycy, Nakła, Bydgoszczy, Przedcza, Gostynina, Kowala, Gniezna, Witkowa, Biechowa, Kórnika, Tuliszkowa, Międzyrzeca, Kopanicy, Nieszawy, Złotorji i w. innych grodów i miasteczek.

„Te miejsca, którem miał sposobność oglądać — mówi W. Surowiecki *) — wszystkie dotąd jeszcze noszą ślady albo rąk olbrzymich, albo cierpliwości i pracy niezmordowanej".

Tą „cierpliwością i pracą niezmordowaną" przedewszystkiem budowała się Polska złotego wieku, zanim, ukołysana szumem pszenicznych łanów swoich, zapadła w rozleniwienie, straciła czujność i w okresie gnuśnej swawoli, której elementy wniosło w granice Rzeczypospolitej panowanie obu Wittynów, zamknęła oczy na grożące jej od zewnątrz i od wewnątrz niebezpieczeństwo.

Stan ziemiański, dotychczas twórczy w narodzie czynnik, stawał się powoli czynnikiem rozkładowym. W pogoni za dobrobytem i wygodą, za wolnością indywidualną i przywilejami urodzenia i klejnotu szlacheckiego, oślepł

---

*) Op. cit. str. 119.

i nie dostrzegł najżywotniejszych przemian życia gospodarczego w kraju.

Miasta, których byt podcięły wojny XVII-go wieku, u schyłku tego wieku znalazły się już w ruinie. Na ruinie tej zaczęła zaś gospodarzyć nie myśl państwowa, ale interes osobisty starostów i interes prywatny panów, którzy, równi królowi, osadzali na swojej ziemi wszelką „hołotę“, byle tylko ciągnąć zyski z czynszów, opłat handlowych i wyszynku.

Stąd w Polsce tyle „miasteczek prywatnych“, fundowanych nietylko ponad istotną potrzebę rozwoju ekonomicznego kraju, ale wyraźnie wbrew temu rozwojowi.

Dotyczy to zwłaszcza Litwy i Rusi, jako ziem, gdzie kultura polska spełniała jednocześnie misję kolonizacyjną przez rody magnackie, przez te swoje „królewięta“, które Ojczyźnie tyle dobrego, a jednocześnie tyle złego wyrządziły. Za nimi dopiero szedł „tłum szlachecki“.

Wreszcie miara została przebrana. Konstytucja z r. 1717 zaleca kanclerzom, aby mieli „osobliwe“ baczenie, iżby „niepewni i podejrzani szlachta Miast i Zamków nie zakładali i owych od nazwisk swoich, dla udawania tym sposobem niby dawności Familji, nie nazywali“

i zakazuje im „na takowe osady Przywileje z Kancellarji wydawać“ *).

Było to jednak zarządzenie spóźnione. Nadmiar i zbytnia gęstość „miasteczek“, a nadewszystko ich ustrój, oparty nie na pobudzaniu wytwórczości i rozwoju handlu, ale na rabunkowej gospodarce starostów i głodnych intraty panów, zaczęły się już na stosunkach ekonomicznych Najjaśniejszej Rzeczypospolitej opłakanie odbijać. Wreszcie, z uwagi, „że miasteczka, w blizkości miast dawnych lokujące się, bywają częstokroć przyczyną upadku tychże miast“, na Sejmie 1768 r. uchwalono, „ażeby na przyszły czas miasteczka jedno od drugiego bliżej jak na mil dwie stawiane bydź nie mogły, wyjąwszy gdzieby rzeka dzieliła, tam bowiem jednej tylko mili odległość zachować rozkazano“ **).

Nie zmienia to jednak w niczem postaci rzeczy. Chylący się w wieku XVIII-ym do upadku organizm państwowy Polski, nie mógł już złemu zaradzić, ani zapobiedz zarysowującemu się na tle ogólnych warunków ekonomicznych ostatecznemu kryzysowi „miasteczek“,

*) X. Wincenty Skrzetuski. Prawo polityczne narodu polskiego. Tom II, str. 132.

**) Op. cit. l. c.

stanowiących w ogromnej swojej większości *własność prywatną*, eksploatowaną przez dostojników kościoła, klasztory i szlachtę.

Szlachta, szukając dla siebie ratunku i podtrzymania, wpuściła nadto szerokim strumieniem do miasteczka Żydów, którzy w dalszej jego historji, jako zawiązek nowoczesnego „mieszczaństwa polskiego“, odegrać mieli rolę decydującą i stworzyć nierozwiązany do dzisiaj problemat naszej przyszłości gospodarczej.

ŻYDZI.

We mgle oddalenia ginie ów dzień fatalny, kiedy pierwszy Żyd postawił stopę swoją na polskiej ziemi.

Niewiadomo, czy był to przybysz ze Wschodu czy z Zachodu, czy uchodził z Bizancjum po krwawem prześladowaniu w zaraniu w. VIII-go (723) i, wypocząwszy w państwie Chazarów, po jego upadku, szedł dalej, ku Polsce, czyli też z przeciwnej przybywał strony, od Niemiec, po zakup niewolników.

Niewątpliwie jednak na tę drugą drogę historja rzuca nam więcej światła.

Wiemy *), że około r. 906 odnowiono w Pasawie na granicy bawarsko-słowiańskiej taryfy celne dla handlarzy niewolnikami, którzy podróżowali w celach zakupu po krajach słowiańskich. Taryfy te wspominają o żydowskich kupcach i okładają ich cłem od niewolników,

---

*) Dr. Ignacy Schipper. Studja nad stosunkami gospodarczymi Żydów w Polsce podczas średniowiecza. Lwów 1911, str. 24, 25, 26.

zakupionych w krajach słowiańskich i przeznaczonych do dalszego transportu.

Kościół, który usilnie zwalczał handel niewolnikami, o ile nimi byli chrześcijanie, zwracał szczególną uwagę na główne siedlisko tego handlu, na Czechy, gdzie „lud o twardym karku a folgujący namiętnościom“ sprzedawał Żydom niemieckim niewolników bez względu na chrzest.

Główną akcję w kierunku usunięcia tych stosunków rozwijał św. Wojciech, lecz z małym skutkiem.

Wślad za św. Wojciechem idzie Judyta, żona Władysława Hermana, która niemało się trudzi około wykupu niewolników chrześcijańskich z rąk żydowskich.

Inny duch żył w margrabiach niemieckich, osadzonych na granicach słowiańskich. Nietylko sprzyjali oni handlarzom niewolnikami, ale poprostu, jak stwierdza kronika Thietmara przed rokiem 1009, sami doprowadzali im żywy towar. Nieraz zdarzało się nawet, że sprzedawali Żydom czeladź, należącą do obcych posiadaczy ziemskich, i to bez ich zezwolenia.

Zwrot w handlu niewolnikami przynoszą dopiero czasy Bolesława Krzywoustego. Książęta piastowcy starają się teraz niewolnika za-

trzymać w kraju i użyć, jako produkcyjnej siły gospodarczej.

Począwszy wreszcie od w. XIII-go giną wiadomości o żydowskich handlarzach niewolnikami na ziemiach polskich. Wreszcie rok 1264 przynosi nam pierwszy dokument historyczny, dotyczący Żydów na ziemiach polskich — słynny przywilej Bolesława Kaliskiego.

Stanowisko prawno-publiczne Żydów w Polsce pokrywa się według tego przywileju wyraźnem pojęciem przynależności do skarbu książęcego. Żydzi są *servi camerae*. Książę jest ich *patronem* i w zasadzie wykonywa juryzdykcję nad nimi. W praktyce zastępuje go wojewoda. Żydzi są wyjęci z pod prawa miejskiego (niemieckiego) i krajowego i podlegają odrębnym przepisom stanowym.

Kiedy i jak dokonało się zdegradowanie Żydów do rzędu „niewolników księcia", względnie króla — nie wiemy. Prawdopodobnie stało się to na drodze recepcji wzorów zachodnich. Należy jednak pamiętać, że owi „servi camerae" korzystają — według przywileju — z zupełnej swobody podróżowania po całem państwie i wożenia swoich towarów. Płacą takie same cła i myta, jakie opłaca mieszkaniec tego miasta, w którem w przejeździe bawi kupiec żydowski.

Mamy tu więc już wyraźnie do czynienia z zorganizowanym *handlem żydowskim*.

Jaką pozatem rolę Żydzi odgrywali w kraju — na to nie posiadamy dowodów pozytywnych. Negatywnie jednak stwierdzają to wydane na synodach: budzińskim w r. 1275 i łęczyckim w r. 1285 zakazy wydzierżawiania Żydom poborów ceł, czynszów, danin i wogóle powierzania im jakichkolwiek funkcji publicznych. Skoro były zakazy, musiały być i fakty, zakaz wywołujące. I nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że osiedlający się w Polsce Żydzi wnoszą do niej po raz pierwszy pojęcie kredytu, lichwy i zastawu.

Pierwsze wiadomości o interesach kredytowych *), uprawianych przez Żydów *zawodowo i na większą skalę*, sięgają na dalszym Zachodzie XI-go w., na Śląsku zaś końca XII-go wieku. W Polsce zjawisko to występuje później, co tłómaczy się tem, iż dopiero w wieku XIII-ym powstaje w niej i rozwija się handel na zasadach gospodarki pieniężnej.

W miarę rozwoju osadnictwa miejskiego w Wielkopolsce i w Małopolsce rosną potrze-

---

*) Dr. Ignacy Schipper. Op. cit. str. 98, 99.

by kredytu produkcyjnego. Potrzeby te zaspokajają Żydzi, oni bowiem jedynie posiadają *kapitały ruchome*, które albo przynieśli do ziem polskich, uciekając przed pogromami w Niemczech i w Czechach pod koniec w. XI-go, albo zdobyli w handlu, prowadzonym w krajach słowiańskich jeszcze przed powstaniem zwartej klasy kupieckiej. Nadto Żydzi posiadają wówczas nieznaną zgoła w Polsce znajomość techniki obrotu pieniężnego, którą zawdzięczają bądź wiekowej praktyce na Zachodzie, bądź temu, że w pierwszych wiekach życia państwowego Polski działali w niej jako *mincarze* książęcy *).

Obok oddziaływania rynków handlowych, niemały wpływ na rozwój kredytu żydowskiego wywarły także rosnące potrzeby osiadłej na ziemi szlachty, a w części i duchowieństwa polskiego.

Wyprawy wojenne, wykupno dóbr rodowych z obcych rąk, opłaty na rzecz kurji i tym podobne przyczyny wytworzyły specjalny system pożyczek na zastaw nieruchomości. Stany szlachecki i duchowny posiadały, jak wiadomo, przeważnie majątki nieruchome, a potrzebując

---

*) Stronczyński. Dawne monety polskie.

pieniędzy, nie mogły ich zdobyć wobec małej ilości drogiego kruszcu, znajdującego się w obrocie, inaczej, jak za pośrednictwem i od jedynych wówczas kapitalistów Żydów. Z ich usług korzystali przedewszystkiem w szerokim zakresie książęta i królowie, wślad za nimi przyzwyczajała się także do tych operacji kredytowych szlachta i duchowieństwo.

Centrami interesów kredytowych Żydów były na schyłku epoki piastowskiej i w zaraniu epoki jagiellońskiej Poznań, Kalisz i Kraków, po części także i Lwów. „Stąd snują kapitaliści żydowscy sieci udzielanych pożyczek na okolicę, sięgają do okolicznych posiadaczy ziemskich i poblizkich mniejszych osad miejskich, czasem nawet łączą się z obcymi bankierami i uprawiają swe interesy poza granicami Polski". *)

Dłużnikami Żydów są już wówczas wszystkie stany, począwszy od królów, wysokich dygnitarzy duchownych i świeckich, a skończywszy na drobnej szlachcie i mieszczaństwie. Na te operacje „kredytowe" Żydów rzucają niesłychanie ciekawe światło badania D-ra Schippera.

---

*) Dr. Ignacy Schipper. Op. cit. str. 106.

Na wysoki rozwój gospodarki pieniężnej, uprawianej przez Żydów małopolskich — mówi cytowany autor — wskazuje między innemi okoliczność, że często łączą się oni w *spółki kredytowe* dla dokonywania znaczniejszych tranzakcji. Z innych ziem zachodnich nic nie słychać o Żydach tylko w łęczyckiem. Księgi sądowe z tego czasu zapisały tylko jeden skrypt dłużny, z którego wynika, że wśród szlachty łęczyckiej operował wielkopolski Żyd Sabdaj z Konina, który pożyczał na 108% i „warował leżenie dłużnika w załodze" *).

Na Mazowszu skupiali się Żydzi w tym czasie głównie około grodu warszawskiego, gdzie mieszkali już w XIII-ym wieku w osobnej dzielnicy, w pobliżu teraźniejszego „Dunaju". „Dudki" mazowieckie z pierwszych lat w. XV-go obejmują mnóstwo tranzakcji Żydów warszawskich, dotyczących sprzedaży i kupna dóbr, domów, gruntów, pożyczek pieniężnych i t. p.

Z Warszawy i z Błonia zjeżdżali niektórzy Żydzi do ziemi czerskiej, gdzie żadnego jeszcze nie było naówczas Żyda osiadłego i uprawiali tam wśród szlachty swoje pożyczki na dobra nieruchome i cenne zastawy. Kapitały obroto-

---

*) Op. cit. str. 132.

we Żydów mazowieckich nie były jednak — zdaje się — znaczne, skoro Ziemowit, książę mazowiecki, nie u nich, ale u Żydów krakowskich zaciągał swoje pożyczki *).

Jako jedną z przyczyn, „żłobiących koryto dla kredytu żydowskiego“ wśród szlachty polskiej, uważa słusznie dr. Schipper stosunki, jakie wytworzyły się pomiędzy mieszczaństwem pochodzenia niemieckiego a ziemiaństwem z krwi i kości polskiem.

„Były to zapasy dwóch narodów, podsycane odmiennością języka i prawa, obyczajów i światopoglądu. Polak i Niemiec. Gdy ucichła nienawiść rasowa i polszczyły się miasta, nie zniknął antagonizm, acz w nowej wystąpił formie. Jeśli przedtem zwalczali się Polak-ziemianin i Niemiec-mieszczanin, walczy odtąd *ziemianin* i *mieszczanin*. Różnicę rasy zastąpiła sprzeczność interesów ekonomicznych. Z rosnącym niepokojem patrzy szlachta na mnożące się z handlu i przemysłu dostatki mieszczaństwa. Niepokój potęguje się, gdy mieszczanie poczynają się zwolna gnieździć po skupowanych dobrach ziemskich. Szlachta widzi niebezpieczeństwo zależności od nowej potęgi fi-

*) Op. cit. str. 133.

nansowej, tem nieznośniejszej, że rosnącej kosztem produkcji rolniczej. Walczy tedy przeciw organizacjom miejskim, walczy jak gdyby przeciw konfederacjom, które głównie w tym celu powstały, by zboże i inne surowe produkty po możliwie najtańszych cenach nabywać, a to ze szkodą producentów — szlachty.

Przepaść, oddzielająca wrogie sobie warstwy, była więc przyczyną, że szlachcic ziemianin jeno wyjątkowo zaspokajał swoje potrzeby kredytu u mieszczanina, szukał natomiast *stałego* oparcia w kapitałach żydowskich" *).

Ten, wywołany siłą faktu, *sojusz* między szlachtą a kapitalistami żydowskimi podtrzymywała jeszcze nienawiść Żydów do niemieckiego mieszczaństwa, które, immigrując do Polski, żywem tu było świadectwem obficie przelanej w Niemczech krwi żydowskiej. I nietylko w Niemczech. I w Polsce już za czasów „protektora Żydów", Kazimierza Wielkiego, Kronika Oliwska przynosi pod rokiem 1349 lakoniczną a jednak wymowną wiadomość: „Żydzi zatruwali źródła i studnie.... i dlatego też prawie w całej Polsce zostali wycięci, jedni zginęli od miecza, inni spłonęli na stosach".

---

*) Op. cit. str. 100.

W niespełna lat 20 potem, rok 1367 zapisuje się krwawo w pamięci gminy żydowskiej w Poznaniu. „Ciekawe — mówi Schipper — że i wobec tego pogromu Kazimierz Wielki, podobnie jak w roku 1349, okazał się zupełnie bezsilnym“. Musiały być zatem głębsze ku temu przyczyny, których rację król wewnętrznie uznawał.

Istnienie tych przyczyn stwierdza fakt, że w roku 1399 wybucha ponownie w Poznaniu „rzeź Żydów“.

„Z ksiąg sądowych poznańskich — zaznacza Schipper — mamy wcale obfite wiadomości o rozległych interesach pożyczkowych i wielkiem bogactwie Żydów wielkopolskich pod koniec XIV-go w., wiemy stąd ponadto, że około r. 1399 naprężone były na tle ekonomicznem stosunki między Żydami poznańskimi a mieszczaństwem i szlachtą okoliczną. Śmiało zatem przyjąć możemy, że pogrom Żydów w roku 1399 to *średniowieczny wyraz* kryzysu kredytowego, jaki o tym czasie wybuchł w ziemi poznańskiej“.

W istotę tego zagadnienia wprowadza nas jednak dopiero wiek XV-ty. Wiek ten stanowi punkt zwrotny w dziejach tułaczki żydowskiej.

„W okresie tym przygotowuje się zrazu wolnym trybem, pod koniec zaś wieku gwałtownym rzutem *transplantacja życia duchowego i energji społecznej Żydów, które dotąd koncentrowały się na Zachodzie, zwłaszcza w Hiszpanji i w prowincjach nadreńskich — do krajów wschodnich*".

Nigdy tyle krwi żydowskiej nie przelało się na Zachodzie, ile w w. XV-ym. Wygnania Żydów były na porządku dziennym. W trzecim i czwartym dziesiątku w. XV-go gasną główne świeczniki, z których wychodziła nauka dla Żydów niemieckich — gminy ich w Kolonii (1426), Spirze (1435) i Moguncji (1438); potem następują długim a krwawym szeregiem wygnania Żydów z Augsburga (1439), z Bawarji (1450), z Erfurtu (1458), z Würzburga (1489), z Magdeburga (1493), ze Styrji, Karyntji i Krainy (1496), z Norymbergi (1498) i t. d.

Podobnie na Śląsku już około połowy XV-go wieku większość miast (między niemi Wrocław — jedno z głównych ognisk ówczesnego handlu polskiego w latach 1453—1455) ostatecznie zamknęły wrota dla stałego pobytu Żydów. Dodajmy do tego prześladowania Żydów w Czechach (Praga 1483, Eger 1497) i na Węgrzech, gdzie po śmierci obrońcy Żydów, Macieja Kor-

wina, ze spotęgowaną siłą wystąpiły ruchy antyżydowskie (Tyrnawa 1494, Buda 1495, Presburg i t. d.), wreszcie straszne *finale* średniowiecza: masowe rzezie i wygnania Żydów z krajów św. Inkwizycji (Hiszpanja 1492, Portugalja 1496)—a będziemy mieli obraz ówczesnego stanu „kwestji żydowskiej“ w Europie.

Ogromna większość z pośród tych, którzy zdołali unieść życie z tego piekła, szukała schronienia w Turcji i w Polsce.

Na glebie polskiej i ruskiej zaroiło się tedy w XV-ym w. od tułaczy żydowskich. „Źródłowo — stwierdza Schipper — daje się na ten czas wykazać immigracja Żydów z Niemiec, ze Śląska, z Czech, z Węgier, a nadto z dalszego Zachodu, jak z Włoch i Hiszpanji. Równocześnie płynęły do ziem polskich rzesze Żydów od Wschodu: z Konstantynopola, Kaffy i Jerozolimy. Ostatnich zagnały tu nie prześladowania, ale cele handlowe. Pod koniec w. XV-go masowo wreszcie wyemigrowali także do Polski Żydzi litewscy, w roku bowiem 1495 wypędził Wielki książę Aleksander Żydów *z całej Litwy*, powodowany obok względów religijnych w większej jeszcze mierze chęcią uwolnienia się od zależności materjalnej od Żydów, u których narosły były do ogromnych sum długi

tak księcia, jak i jego otoczenia. Wygnańcy litewscy znaleźli w Koronie schronienie. Dopiero w r. 1503 dozwolono im wrócić na Litwę". Pozostał jednak po nich niewątpliwie osad na ziemiach rdzennie polskich.

Królowie polscy sprzyjali nowym osadnikom żydowskim w dobrze zrozumianym interesie skarbu.

Osadnictwo przybyszów na ziemiach polskich następowało na podstawie *glejtu królewskiego*, wydanego zwyczajnie grupie Żydów, która skupiała się około wybitniejszego ich reprezentanta. Udzielanie podobnych glejtów stanowiło wcale pokaźne źródło dochodu króla, zwłaszcza, że zdaje się, iż osadnictwo kolonistów żydowskich należało wówczas, jak i przedtem, wyłącznie do króla. Prawdopodobnie i w wieku XV-ym nie potrzeba było zgody gminy miejskiej na przyjęcie kolonistów żydowskich do miasta. W źródłach współczesnych — zaznacza Schipper — niema żadnego punktu oparcia dla przypuszczenia, *jakoby rada miejska miała coś stanowić w kwestji zamieszkania Żydów w mieście.* Zdaje się, że *nawet w miastach lub wsiach prywatnych wolno było Żydom osiedlić się bez osobnego przyzwolenia tenutarjuszy tych dóbr.* Przemawia za tem okoliczność, że przez

cały w. XV-ty Żydzi po wsiach i miastach prywatnych osiedleni podlegali narówni z żydami mieszkającymi w dobrach królewskich — *bezpośrednio* władzy królewskiej, względnie wojewodzińskiej. Stan ten zmienia się dopiero w roku 1539 na podstawie statutu Zygmunta I, którym król zrzeka się na rzecz tenutarjuszy juryzdykcji, jak i opłat, pobieranych dotąd od Żydów, *przebywających w dobrach prywatnych*.

O rozmiarach immigracji żydowskiej do Polski w w. XV-ym świadczy ogromna ilość *miast* i *miasteczek*, w których Żydzi w tym wieku pozakładali swe gminy. Podczas gdy w wieku XIV-ym gminy te można było jeszcze policzyć na palcach, znajdowały się one bowiem tylko w miastach większych, jak Poznań, Kalisz, Kraków, Sandomierz, Warszawa i Lwów, w wieku XV-ym doliczyć się ich można już około 50 na ziemiach polskich i ruskich, a mianowicie: w Wielkopolsce znajdują się one w Gnieźnie, Szamotułach, Sieradzu, Łęczycy i Koninie; na Kujawach: w Bześciu Kujawskim, we Włocławku, w Inowrocławiu, Nieszawie i Kłodawie; w Małopolsce: w Bochni, Zatorze, Krośnie, Proszowicach, Sączu, Tarnowie, Lublinie i Jaśle; na Mazowszu: w Płocku, Łomży, Gostyninie; na Pomorzu: w Gdańsku i Cerekwi-

cy; na Wołyniu: w Łucku, Włodzimierzu i Ostrogu; na Rusi Czerwonej: w Bełzie, Busku, Chełmie, Dolinie, Drohobyczu, Glinianach, Gołogórach, Gródku, Haliczu, Hrubieszowie, Jarosławiu, Kamionce, Lubaczowie, Przemyślu, Wojsławicach i Żydaczowie, wreszcie na Podolu: w Buczaczu, Kamieńcu Podolskim i Międzybożu.

Nastąpiło więc w tym czasie pierwsze wtargnięcie Żydów do *miasteczka polskiego* pod opieką królów i szlachty. Rychło też Żydzi poczęli zagarniać w swe ręce handel, korzystając z zawarowanej im przywilejami Kazimierza Wielkiego (1334, 1364 i 1367) i Władysława Jagiełły (1387 dla Żydów lwowskich) „swobody podróżowania po całem państwie".

Schyłek wieku XV-go uważać też należy za czas największego rozkwitu handlu żydowskiego na ziemiach polskich. Świadczą o tem—znów negatywnie—pierwsze *ograniczenia praw handlowych Żydów* w Polsce.

Impuls do ich wydania wychodzi od mieszczaństwa polskiego i niemieckiego. Pierwszy sygnał bojowy odzywa się w centrum handlu polskiego —w Krakowie *). Za Krakowem idzie Lwów **).

*) J. Piekosiński. Kodes dyplom. Krakowa I. Nr. 192.

**) M. Bałłaban. Żydzi lwowscy na przełomie wieku XVI z XVII, str. 395.

Mieszczaństwo w obawie współzawodnictwa wskazuje Żydom, jako jedyne pole do działania—*lichwę*. Tymczasem Żydzi nie kwapią się zrezygnować z handlu. Stąd zatargi, które obijają się o władzę królewską i zmuszają ją do interwencji. Wszystko to znajduje pełny swój wyraz dopiero w r. 1538-ym w uchwale Sejmu piotrkowskiego, orzekającej, iż „Żydom *nie* przysługuje nieograniczona wolność“ handlowa, ale mają stosować się do norm, ustanowionych w Królestwie i dochować *ugód*, jakie w niektórych większych miastach państwa istnieją *).

Na sejmie tym—zaznacza dr. Schipper—po raz pierwszy znalazła wyraz *opozycja szlachty* przeciw handlowi Żydów. Idzie mianowicie szlachcie głównie o usunięcie współzawodnictwa na polu handlu produktami rolnymi.

W wieku XV-ym szlachta nietylko że toleruje kupców żydowskich, ale używa ich pośrednictwa w eksporcie zboża, smoły, popiołu i t. d. do Gdańska. Był to jednak eksport jeszcze słaby, nieco silniejszy na Mazowszu i na Kujawach, gdzieindziej zgoła nikły. Wzmaga się on dopiero za panowania Zygmunta I-go, kiedy dla Polski istnieją już zadatki tego, iż ma się ona stać „śpichlerzem Europy“.

---

*) Volumina legum, I, B. p. 524.

Stosunki handlowe szlachty w czwartym dziesiątku lat wieku XVI-go są jednak już dość rozległe i utwierdzone, aby mogła ona o własnych siłach działać. *Pośrednictwo Żydów staje się też po większej części zbyteczne.* I dla tego Sejm piotrkowski z r. 1538-go, wychodząc z założenia, że „ustawy krajowe zabraniają chrześcijanom handlować po wsiach i odbywać tu jarmarki“ uznaje, że *tem mniej można na to zezwolić Żydom i zakazuje* im tego „pod surowemi karami oraz karą konfiskaty wszystkich ich towarów“. Jednocześnie mieszczaństwo polsko-niemieckie, a więc chrześcijańskie, widzi w Żydach coraz groźniejszego dla siebie współzawodnika i coraz ostrzej przeciw temu współzawodnikowi występuje.

Charakter tych wystąpień nosi zupełnie wyraźnie cechę pogromów. Niech tylko w jakiem mieście lub miasteczku wybuchnie pożar, pod pozorem, że Żydzi są jego winowajcami, mieszczaństwo sprawia im krwawą kąpiel. Pobudki ekonomiczne takiego korzystania z chwili i nastroju motłochu są aż nadto łatwe do uchwycenia. Sprawy wyznaniowe mniejszą odgrywają tu rolę, zwłaszcza iż tolerancja władzy królewskiej bierze Żydów w opiekę we wszystkich udzielanych im przywilejach.

Znieważającego cmentarz żydowski spotyka surowa kara konfiskaty majątku. Kto rzuca kamienie na bóżnicę żydowską, podlega karze 2 funtów pieprzu. Chrześcijanin, wchodzący do domu żydowskiego, nie powinien wyrządzać Żydowi żadnej krzywdy. Żydowi, zagrożonemu gwałtem nocnym, obowiązani są sąsiadujący z nim chrześcijanie udzielić pomocy. Żydom wolno chodzić do łaźni miejskiej narówni z chrześcijanami i t. d.

Oto najgłówniejsze w tym kierunku punkty przywilejów.

Nadchodzi jednak czas, kiedy dobra wola królów, pozostająca jednak w ścisłej łączności z interesami skarbu, który *servi camerae* zasilali pieniędzmi, nie może przeciwstawiać się uporczywie interesom chrześcijańskiej ludności i musi ustąpić pod naporem tej siły przemożnej, którą dzisiaj nazywamy *opinją*. Zbiega się to z chwilą, kiedy Zygmunt I, naciskany przez szlachtę, godzi się w r. 1539-ym na sejmie krakowskim na to, aby Żydzi, osiedleni na ziemiach prywatnych, podlegali władzy tenutarjuszy i na ich rzecz opłacali czynsze, jakie dotąd król od nich pobierał *).

---

*) Vol. legum, I, 550.

Od tego momentu *interes* króla zmniejsza się, interes zaś szlachty w przyciągnięciu do swoich miasteczek prywatnych ludności żydowskiej w charakterze płatników czynszów widomie wzrasta. Szlachta, a obok niej duchowieństwo, w pogoni za zyskiem starają się teraz o przywileje na zakładanie miast prywatnych. Przyrost ich pod koniec wieku XVI-go, a zwłaszcza w w. XVII-go i w pierwszej połowie XVIII-go jest bardzo znaczny i nie znajduje się już w żadnym stosunku do potrzeb gospodarczych wsi.

Co do miast szlacheckich, to były one dwojakie: jedne z nadania dziedziców, wolne od pańszczyzny, jedynie tylko czynsz oznaczony opłacające, lub niektóre szarwarki odbywające, inne za przywilejami królewskimi lub osobnemi konstytucjami do praw i swobód miast królewskich przypuszczone, a przeto rządzące się nawet prawem magdeburskiem lub chełmińskiem.

„Pierwsze zasadzały się w swej wolności tylko na dobrowolnej woli dziedzica i zależały w swych swobodach od wielowładnej jego dyspozycji, drugie rządziły się ze wszystkiem na wzór miast królewskich, tak dalece, że i z własnym panem o gwałt swych swobód, z przywilejów wypływających, rozprawiać się mogły,

w tym albowiem razie wyrzekał się dziedzic zupełnie swego zwierzchnictwa i własności nad takowem miastem w nadziei zysku z jego handlu i ludności, a miasto takowe, przypuszczone do praw miast królewskich, ponosząc pokrzywdzenie, doznawało równego bezprawia, jak gdyby miastu królewskiemu gwałt był wyrządzony. Względem prerogatyw, miastom tym służących, można mówić, iż pierwszej klasy miasta mało co albo prawie w niczem nie różniły się od wsi, prócz jarmarków, przywilejem lub prawem owymże dozwolonych. Miasta zaś drugiego rzędu, we względzie rządu wewnętrznego, podatków, policji i wykonywania sprawiedliwości równały się z miastami pomniejszemi królewskiemi.

„Co do miast duchownych, te były również dwojakie w tym samym podziale i z temi samemi podług niego prerogatywami i swobodami, jak szlacheckie, ponieważ i duchowieństwa, zwłaszcza wyższego, zalety zasadzały się na szlachectwie i od niego były zawisłe. Ta tylko była między miastami szlacheckiemi a duchownemi ogólna i powszechna różnica, że właścicielami pierwszych byli duchowni, drugich zaś szlachta“ *).

*) J. W. Bandtke-Stężyński. Prawo prywatne polskie. Warszawa, 1851. W drukarni Banku Polskiego.

„Za umowami“ tedy z tymi właścicielami poczęli Żydzi w pomniejszych miastach i miasteczkach polskich osiadać i zagnieżdżać się, lub osadzać się pod niemi, na przedmieściach, a często i „przeciwko prawom“ przez chciwość starostów znajdowali drogę, jak to się stało z Warszawą.

„Bawili się“ ci Żydzi w miasteczkach polskich: kupiectwem, rzemiosłem lub szynkiem, a „większa prawie część próżniactwem“ — mówi Skrzetuski *).

Dobra nieruchome, zapisy, cła, myta i inne dochody publiczne, po które początkowo śmiałą sięgali ręką, niedługo mogły nasycać ich żądzę łatwego sposobu pomnażania swoich środków i wolnego od troski i codziennej pracy życia. Rychło bowiem zaczęły obwarowywać prawa i przysięgi królów, aby im to nie było „puszczane“. Wreszcie w wieku XVIII-ym sprawą zatrudnienia Żydów i uczynienia z nich ludności, przez pracę swoją krajowi i państwu pożytecznej, zajęły się na serjo czynniki państwowe.

„Sejm roku 1775, chcąc ich do rolnictwa

*) X. Wincenty Skrzetuski. S. P. Prawo polityczne narodu polskiego. W Warszawie, 1787. Tom II, str. 84.

zachęcić podał dość użyteczne dla nich warunki, przykazał nawet rabinom pod karą tysiąca grzywien, ażeby żenić się nie dopuszczali tym, którzyby się handlem pozwolonym, rzemiosłem i rolnictwem lub służbą nie bawili i sposobu pewnego tak do życia, jak do opłacania podatków Rzeczypospolitej nie okazali" *).

„Wszakże — stwierdza X. Skrzetuski — nie można ich namówić do rolniczej zabawy, do której wstręt mają, czy przez lenistwo, czyli przez przesąd, czyli zaufanie w przemyśle własnym, iż lżejszym sposobem opędzać skromne swoje potrzeby potrafią, czyli nakoniec przez niezapewnioną w wielu rzeczach naszego Prawodawstwa skuteczność".

Ten ostatni powód, zdaje się, był najistotniejszym. Wbrew bowiem ograniczeniom prawa, Żydzi, osłonięci protekcją szlachty, a zwłaszcza starostów, którzy czerpali z ich pobytu w miasteczkach dochody, zagnieździli się tam na dobre właśnie w charakterze ludności, pasorzytującej na organiźmie społeczno - ekonomicznym „nierządem stojącej" Polski.

Stopniowo dopiero, wskutek walki, jaka wywiązała się pomiędzy szlachtą a mieszczań-

---

*) Op. cit. l. c.

stwem, a której wynikiem były ograniczenia cechów na rzecz *libertatis terrestris*, Żydzi wzięli się do niektórych lżejszych rzemiosł i kunsztów. Zaczęli się wśród nich zjawiać krawcy, kuśnierze, złotnicy, sztycharze i blacharze. Wyniki jednak ich pracy nie były znaczne, tak dalece, że J. W. Bandtke-Stężyński *) w swojem „Prawie prywatnem polskiem" może stwierdzić, iż „przeszkody w osiągnięciu dobrych skutków, jakie z wolności rzemiosł wyniknąć byłyby mogły, *Izraelitom przypisać po większej części należy*. Praca fizyczna lub przesąd religijny wstrzymywały (bowiem) Żydów od wielu rzemiosł i zapewniły ich wyłączne wykonywanie chrześcijanom, niema bowiem *rzemieślnikami* (tak!) Żydów mularzy, kowali, młynarzy z powodu ciężkiej pracy, szewców, szczotkarzy z powodu przesądu i wstrętu do szczeciny".

Lichwa i handel były tedy zawsze głównem zajęciem Żydów w Polsce. Handel ten opierał się, jak już wiemy, na umowach, zawartych z miastami. Już jednak za Zygmunta Augusta mieszczaństwo chrześcijańskie, polsko-niemiec-

*) Op. cit. str. 129.

kie, skarży się wielokrotnie na to, iż Żydzi mu „handel odejmują“.

Rozkazano wówczas, zarówno miastom, jak i Żydom, okazać na Sejmie wzajemne między sobą co do handlu umowy i „podług nich zachować się obojej stronie zalecono“ *).

Obostrzyły to późniejsze prawa, „zakazując Żydom kupiectwa pomimo umów z miastami poczynionych”.

Wreszcie Konstytucja roku 1768, „utwierdzając wolność handlowania Żydom *w miasteczkach ich żydowskich*, za przywilejami ulokowanych, oraz przykazując, ażeby w innych miastach i miasteczkach nie przywłaszczali sobie więcej wolności nad tę, którą im pozwalają ugody z miastami zawarte, zleciła komisarzom, od Sejmu wyznaczonym, ażeby, gdzie takowe umowy z Żydami nie stanęły, *a miasta ich robić nie chcą*, tam, wysłuchawszy przyczyn i sporów stron obydwóch, powagą swoją one jak najsprawiedliwiej ustanowili, bez których to podatków ani handlów i szynków prowadzić, ani rzemiosł robić Żydzi nie mają pod surowemi karami“.

Wogóle polityka miejska Stanisława Augu-

---

*) X. W. Skrzetuski, op. cit. Tom II, str. 85.

sta widomie dąży do uregulowania stosunków, jakie wytworzyła pierwsza połowa XVIII-go wieku. Król bystrością umysłu i nawskroś nowoczesną orjentacją w zakresie podstaw ekonomicznych kraju przeszedł o całe niebo swoje otoczenie. On jeden widział jasno i wyraźnie przyczyny upadku miast i szukał dla nich ratunku. Nie znalazł jednak wykonawców dla swoich zamierzeń. Tu i owdzie tylko poparł go ktoś w otoczeniu najbliższem, jak to był uczynił w swoim czasie słynnem swojem powiedzeniem uszczypliwem kasztelan Jezierski, który, gdy razu pewnego przy stole królewskim była mowa „o niezmiernych usiłowaniach i pracach, jakie na zburzenie Bastylji Paryżanie podejmować musieli", rzekł do króla: „Prawda, że miljon ludzi długo się mozoli z jednym tym gmachem, ale poślij im Wasza Kr. Mość w pomoc kilku starostów, a oni wkrótce i Bastylję i cały Paryż zrujnują".

Jakoż „starostowie" pod okiem władzy najwyższej, sami będąc jej przedstawicielami, *rujnowali* życie miejskie, ulegając przekupstwu i mimo wydawanych zarządzeń patrząc przez palce na „handle" i „szynki" żydowskie.

Polska w tym okresie staje się jedną wielką szynkownią.

„Niebaczne prawo roku 1775—biada Surowiecki *)—dozwoliło po miastach główniejszych każdemu mieszkańcowi wszelkiego rodzaju szynków. To łatwe, próżniackie i niebezpieczne z wielu względów powołanie, nietylko przyśpieszało ruinę miastom i ich mieszkańcom, ale nadto psuło do reszty moralność i obyczaje narodu. Rzucając użyteczniejszy sposób do życia, każdy chwytał się szynku, każdy przemyślał, jakby z niego powiększyć zyski. Ludzie bez sumienia znajdowali w tym przemyśle najlepszą zręczność do wykonywania swoich niegodziwości".

W takim stanie rzeczy zastała miasteczka polskie katastrofa rozbiorów. Na Rzeczpospolitą zwaliło się nieszczęście, którego miary nie mogły na razie objąć oczy współczesnych. Nawet ziemiaństwo szlacheckie — ówczesne serce i mózg narodu — nie zdawało sobie dobrze sprawy z tego, co zaszło. Czegoż więc można było wymagać od mieszczaństwa, które w stolicach składało się z różnobarwnej mozaiki przybyszów **) z rozmaitych krajów, z Niemiec,

---

*) Op. cit. str. 135.

**) Wł. Smoleński. Mieszczaństwo warszawskie w końcu XVIII-go wieku. Warszawa, 1917.

z Francji, z Włoch, z Holandji, z Węgier, z Czech i w nikłej tylko części z Polaków i ze spolszczonych Ormian, na prowincji zaś „najnędzniejsze siedliszcza, złożone z kilkudziesiąt biednych chałupsk, osadzone garstką motłochu żydowskiego i włóczęgów bez powołania“ *), reprezentować miały siłę, która w tym samym właśnie czasie występowała na arenę życia państwowego we Francji, jako zorganizowany stan trzeci, sięgający po prawa i władzę.

W Polsce nie mogło być mowy o tem i dla tego chociaż wicher ideowy rewolucji francuskiej przedarł się także w granice Rzeczypospolitej i posiał w przodujących umysłach ziarno przebudowy, opartej na prawach człowieka, to jednak ani Konstytucja 3-go maja, ani Insurekcja Kościuszkowska nie przyniosły w wyniku swoim zbawienia, bo go przynieść nie mogły.

Sprawa miejska, zainicjowana przez Dekerta i poparta przez Sejm czteroletni, znalazła oddźwięk tylko wśród mieszczaństwa stołecznego i mieszczaństwa miast królewskich. Pozatem nie było mowy o *stanie trzecim* w Polsce. „Miasteczka“ prywatne stały poza ruchem ideo-

*) W. Surowiecki, op. cit. str. 136.

wym, poza całym „jakobinizmem” epoki, tak samo, jak stał poza nim lud, mimo manifestu połanieckiego, mimo wysiłków Kościuszki i Jasińskiego, mimo świetnego błysku pierwszych kos chłopskich pod Racławicami, a szabli Kilińskiego i topora rzeźnickiego Sierakowskiego na ulicach Warszawy.

Nad krajem przeszła burza, która odświeżyła zatęchłe powietrze dwóch ostatnich stuleci i otworzyła oczy przewodnim w kraju umysłom na istotny stan rzeczy. Z burzy tej jednak nie wyłonił się pogodny i słoneczny „dzień nowy”.

Polska weszła wprawdzie w okres coraz bardziej świadomego zmagania się ze swojem nieszczęściem, coraz mniej jednak miała warunków do tego, aby zwyciężyć. Mogła już tylko ratować swój honor i uratowała go za pośrednictwem legjonów Dąbrowskiego i szabli ks. Józefa.

Ale jednocześnie uwikłany w długotrwałe wojny, upadający pod ciężarem rekwizycji, związanych z nieustannymi przechodami wojsk cudzych i swoich, zrujnowany do szczętu ekonomicznie i wycieńczony, stojący pod grozą depopulacji kraj nie mógł myśleć o reformach wewnętrznych.

Panowanie pruskie (1796 — 1807) nie uporządkowało stosunków miejskich. Pozostawiło nam ono w puściźnie po sobie tylko nazwiska niemieckie, nadane Żydom, którzy w tym samym czasie, jako pośrednicy, porozumiewający się łatwiej od żywiołu polskiego z władzami zaborczemi, zagarnęli w swoje ręce cały niemal handel w miasteczkach „Prus południowo-wschodnich".

Krótkotrwała formacja Księstwa Warszawskiego (1807—1815), acz oparta na względnie dobrej konstytucji, wprowadzającej do Polski nowoczesne pojęcia prawne za pośrednictwem Kodeksu Napoleona, nie mogła również do zasadniczych przystąpić reform.

Wreszcie Królestwo Kongresowe podczas 15-letniego swego istnienia (1815 — 1831), zajęte przeważnie walką o konstytucję, zakończoną tragicznym epilogiem powstania listopadowego, nie zdołało pchnąć życia społecznego w kraju na nowe tory, mimo, że w kierunku gospodarczym uczyniło pamiętny po wszystkie czasy wysiłek, dążąc do rozbudzenia przemysłu, ożywienia rzemiosł i podniesienia dobrobytu wszystkich warstw ludności.

Tymczasem idea wielkiej reformy społecznej, na którą czekała Polska daremnie, po upad-

ku powstania poszła na emigrację i tam żyła w doktrynach towarzystwa demokratycznego i w ulotnych pismach marzycieli politycznych, gdy w kraju szalała reakcja, a rządy paskiewiczowskie ćmiły światło *) i przygotowywały tę prostrację umysłów i rezygnację, w którą ostatecznie wtrąciła społeczeństwo klęska 1863/4 roku. Po niej rząd rosyjski wystąpił już śmiało i bez zastrzeżeń *(point des rêveries)* z programem „zjednoczenia" *kresów nadwiślańskich* z imperium za pomocą rusyfikacji.

Jedną z dróg, które miały prowadzić do tego, było także niszczenie wszystkich śladów przeszłości w miastach i miasteczkach polskich, celowe zacieranie ich fizjognomji odrębnej i przystosowywanie ich do szarego szablonu ogólnopaństwowego.

„Czego niema w Rosji, tego nie może być w Polsce" stało się hasłem administracji, która też rychło zdołała nietylko zatamować rozwój naszych miast, ale i uwstecznić je pod względem najelementarniejszych wymagań kultury zdrowia publicznego i porządku.

Niespodziewanym sprzymierzeńcem rządu

---

*) Jan Kucharzewski. Epoka paskiewiczowska. Warszawa—Kraków 1914.

rosyjskiego w tem dziele zniszczenia okazała się ludność żydowska naszych miasteczek, szybko rosnąca liczebnie. Nie mając żadnego pietyzmu dla pomników przeszłości, rozsiadła się bez wyrzutów sumienia na ich ruinach, niszczyła i plugawiła szczątki zamków, rozbierała je na swoje potrzeby budowlane, zanieczyszczała i do nieuniknionej prowadziła zagłady, stając się mimowolnem, nieświadomem narzędziem pomocy dla administracji, wrogie względem kraju zajmującej stanowisko.

Taki był stan rzeczy, który zastało w „miasteczku" nasze pokolenie, „urodzone w niewoli, okute w powiciu".

MIASTECZKO A WIES.

Trzy są podstawy zasadnicze dobrobytu miast: przemysł, rzemiosło i handel. Wszystkie trzy są u nas w zaniedbaniu i na wszystkie trzy patrzeć możemy dopiero jak na muzykę przyszłości. Od nas jednak zależy, od naszej ogólnokrajowej polityki socjalnej i ekonomicznej, czy będzie to melodja harmonijna, czyli też będzie ona zbiorem rozmaitych, skłóconych z sobą i nieskoordynowanych akordów.

„Miasteczko“, jako placówka ekonomiczna, powołane jest przedewszystkiem do zaspokojenia potrzeb wsi. Związane z nią blizko, jest tym punktem, w którym zbiegają się interesy włościan i dworów okolicznych. Tam rolnik, jako producent, zaopatruje się w to, czego sam wyprodukować nie może, tam nabywa owe tysiączne drobne przedmioty, które cywilizacja i kultura uczyniły niezbędnymi w najpierwotniejszem gospodarstwie. Poczynając od soli i pieprzu, kończąc na zakupie narzędzi rolniczych, miasteczko jest tym pierwszym, najbliż-

szym punktem handlowym, gdzie wieś, spieniężywszy to, co ma do spieniężenia, wymienia swój pieniądz na potrzebne sobie towary.

Stąd zaopatrywanie rynku małomiejskiego musi mieć przedewszystkiem na widoku potrzeby wiejskie i dlatego handel małomiejski posiada swój specjalny charakter, swoje cechy odrębne, wyróżniające go od handlu wielkomiejskiego. Gdy tam, poza ścisłym utylitaryzmem, rozwinęły się cale dziedziny handlu, będącego na usługach kultury i wkraczającego od czasów najdawniejszych na teren zaspokajania najbardziej wyrafinowanych potrzeb warstw bogatych, żyjących w materjalnym i intelektualnym zbytku, w miasteczku wszystko jeszcze obraca się dokoła jednej zasadniczej osi pożytku i użytku praktycznego.

Ani rzemiosła artystyczne, ani przedmioty sztuki czystej nie znajdą tam zbytu.

Kupiec małomiejski wie o tem dobrze i zaopatruje się tylko w to, co dla zamożniejszej i niezamożnej klijenteli wiejskiej posiada bezpośrednią wartość użytkową.

Takie są od wieków zasady handlu małomiejskiego, taki od wieków jego charakter.

Różnica pomiędzy tem, co jest dzisiaj, a co było wczoraj, polega tylko na tem, że w okresie

rozwkitu cechów, kiedy o wielkiej industrji nie było jeszcze mowy, każde miasteczko było nietylko ośrodkiem handlu, ale wcale poważnym ośrodkiem produkcji. Historja rzemiosł w Polsce świadczy, że był czas, kiedy rzemiosła te stały wysoko, a istniejące do dnia dzisiejszego jeszcze ślady przemysłu, zwłaszcza tkackiego, w wielu miasteczkach mówią wyraźnie o rozmiarach tej produkcji. Wnosić stąd można, że miasteczka wyrabiały wówczas samodzielnie na użytek wsi wiele produktów, których dzisiaj dostarcza wielki przemysł.

Z chwilą powstania tego przemysłu, miasteczka musiały zrezygnować z roli producentów, a poprzestać na roli pośredników.

Wówczas to z łatwością cały handel małomiejski wziąć mogła w swoje ręce ludność żydowska, stojąca zdala, jak widzieliśmy, od produkcji rzemieślniczej, ale wyspecjalizowana przez doświadczenie całych stuleci w pośrednictwie.

Druga połowa wieku XIX-go, t. j. ten właśnie okres, w którym Królestwo Polskie poczęło się uprzemysławiać na sposób nowoczesny, stała się dla miasteczek polskich dobą katastrofy pod względem zepchnięcia w nich ludności polskiej i wogóle chrześcijańskiej na drugo i trzeciorzędne stanowisko w stosunku do ruch-

liwej i przedsiębiorczej falangi Żydów-przedsiębiorców.

Korzystając z niedołęstwa, braku tradycji handlowej i rutyny, nieświadomości i leniwej apatji ludności polskiej, Żydzi, którzy stali się w Polsce właściwym stanem trzecim, właściwem *mieszczaństwem* w nowoczesnem rozumieniu tego pojęcia na szerokiem tle ekonomiczno-socjalnej organizacji społeczeństw europejskich, stojących pod znakiem ustroju kapitalistycznego, — potrafili bez współzawodnictwa zagarnąć i zmonopolizować w swych rękach całą sieć wymiany, całe pośrednictwo handlowe pomiędzy wsią a miasteczkiem.

Niepodobna odmówić im w tem dużej dozy sprytu, przewidywania i psychologicznej znajomości klijenteli. Potrafili oni stać się niezbędnymi zarówno dla szlachty, jak i dla włościaństwa, a po kryzysie agrarnym, jakiego widownią stał się nasz kraj pod koniec siódmego dziesięciolecia wieku ubiegłego, kiedy po uwłaszczeniu wieś przejść musiała od gospodarki pańszczyźnianej, opartej na robociznach darmych, do gospodarki nakładowej—Żydzi małomiejscy, jako niemal jedyni podówczas, a w każdym razie *najbliżsi* dostarczyciele kredytu, drogiego i rujnującego wprawdzie, ale łatwego do zdobycia

dla dworu, a nawet i dla chaty, zaczęli grać pierwsze skrzypce w nowej organizacji gospodarczej prowincji i przy pomocy sieci sklepów, sklepików i karczem, rozstawionych, jak placówki strażnicze po kraju, ogarnęli cały teren i omotali go pajęczyną swoich tendencji monopolowych.

Jakoż istotnie cały drobny handel skupił się i zmonopolizował w ich ręku i tylko nadmierne rozmnożenie się ich liczebne, powodujące również nadmierne rozdrobnienie się tego handlu, sprawiło, że nie doszli oni, jako masa, do wielkich bogactw, że, wyjąwszy poszczególne przypadki, naogół osiągnęli zaledwie średni dobrobyt, poza którego ramami dość było jeszcze miejsca dla ciemnego proletarjatu ich współwyznawców, tej największej dzisiaj klęski polskich miasteczek.

Czując się, pomimo wiekowego przebywania w kraju, ludnością w kraju tym obcą, odrębną, oddzieloną od tybulców religją i mową, która jak mur stała pomiędzy nimi a światem chrześcijańsko-polskim, działali oni bez żadnych skrupułów, jeśli nie na wyraźną szkodę tego świata, to mając jedynie własne korzyści na względzie.

Związani mocno w jedną organizację wy-

znaniowo-ekonomiczną, przez wrodzoną sobie solidarność i trzymanie się za ręce, potrafili utworzyć zamknięty łańcuch, w którym nie było miejsca ani na jedno ogniwo chrześcijańskie. Ludność polska, trudniąca się handlem, nie przenosi też dzisiaj w Królestwie 15% ogółu ludności małomiejskiej.

W okresie tym miasteczka polskie przybrały ów niesłychanie żałosny swój wygląd.

Jako czynnik ekonomicznie ruchliwy i przedsiębiorczy, Żydzi podtrzymali wprawdzie zamierające życie miasteczek, ale tej ich roli nie należy przeceniać choćby z tego względu, że niewiadomo, jak ukształtowałyby się stosunki, gdyby miejsce ich zajmował odpowiednio wyrobiony żywioł polski. Ekonomiści żydowscy skłonni są do przypuszczania, że gorzej. My, przeciwnie, jesteśmy zdania, że lepiej, i to w zakresie nietylko ekonomicznym, ale ogólno-kulturalnym.

Rzecz to bowiem wysoce znamienna, że ludność żydowska naszych licznych miasteczek, ekonomicznie w nich najsilniejsza, do uiszczania podatków miejskich najzdolniejsza, stanowiąca w połowie przynajmniej najzamożniejszą w miasteczkach tych warstwę, nie uczyniła nic zgoła dla kulturalnego ich podniesienia.

Rozszerzywszy w ciągu ostatnich lat 50-iu znacznie swój stan posiadania *) przez nabywanie nieruchomości, nie zaznaczyła się ona żad-

---

*) Według obliczeń, dokonanych dla 72 miast mniejszych Królestwa przez Wł. Wakara (zob. Ekonomista, tom III i IV za rok 1916. Włodzimierz Wakar „Miasta prowincjonalne Królestwa Polskiego", str. 179). własność nieruchoma *polska* stanowiła:

od 10% — 20% w 2 miastach
od 20% — 30% w 5 „
od 30% — 40% w 9 „
od 40% — 50% w 13 „
od 50% — 60% w 15 „
od 60% — 70% w 10 „
od 70% — 80% w 11 „
od 80% — 90% w 7 „

Odwracając ten stosunek, otrzymamy dla własności żydowskiej i niemieckiej % następujący:

od 90% — 80% w 2 miastach
od 80% — 70% w 5 „
od 70% — 60% w 9 „
od 60% — 50% w 13 „
od 50% — 40% w 15 „
od 40% — 30% w 10 „
od 30% — 20% w 11 „
od 20% — 10% w 7 „

Poza tym rachunkiem stoi jednak z górą 300 miasteczek, dla których cyfry te bynajmniej nie byłyby lepsze.

nym wysiłkiem w kierunku budowlanym, nie wzniosła nawet dla samej siebie posiadających wybitniejszą wartość estetyczną bóżnic i domów modlitwy, a o ile bóżnice takie i domy tu i owdzie istnieją, należą wyłącznie do zabytków przeszłości, których próbę inwentaryzacji dał M. Berson.

Dalej, nietylko nie przyczynili się oni w niczem do podniesienia warunków zdrowotnych zamieszkiwanych przez siebie miasteczek, ale wszędzie, gdzie tylko liczniejsze powstały ich skupienia, warunki te obniżyli. Jedyną ich myślą, jedyną troską i jedynem dążeniem był doraźny zysk handlowy, osiągany przez *tanią* sprzedaż podrzędnej wartości towarów, których poszukiwała ludność niezamożna, nie mogąca wskutek braku środków pieniężnych wznieść się do zasady angielskiej, stwierdzającej na mocy doświadczenia, że „*najtańszym* jest towar *dobry*". Ta pozorna „taniość" stała się dla handlu żydowskiego nietylko dźwignią, ale najsilniejszym jego atutem w stosunku do szerokich warstw robotniczej i włościańskiej ludności kraju. Oparty o nią handel miasteczek stał się handlem tandetnym, obniżającym smak i wymagania klijenteli, tamującym normalne szerzenie się kultury i narażającym nadto ubogich

nabywców na niejednokrotny zawód i nieprodukcyjny zgoła wydatek.

Przyzwyczajenie jednak stało się drugą naturą wsi polskiej, która, jak owca, szła i dotąd jeszcze idzie pokornie pod nożyce żydowskie. Skorzystali z tego umiejętnie kupcy i drobni handlarze żydowscy i, stając się wyłącznymi pośrednikami pomiędzy przemysłem a wsią, zwolna opanowali cały handel bławatny, norymberski, żelazny, kolonjalny, w przeważnej części handel artykułami spożywczymi, zwłaszcza mięsem (za wyjątkiem wieprzowego), nabiałem (pacht) i owocami, napływającymi z dzierżawionych przez nich sadów dworskich, wreszcie naczyniami wyrobu garncarskiego, bednarskiego i t. p.

Za pomocą kredytu wytwórczego *) zdołali nadto w znacznej mierze uzależnić od siebie rzemieślników chrześcijańskich, a dostarczając im materjału surowego, odbierali go w następstwie za nikłą dopłatą w postaci gotowych wyrobów.

---

*) Z. Dębicki. Z ludem dla ludu. Przemysł ludowy w Królestwie Polskiem. Bibljoteka Warszawska 1909 i osobno w wydaniu Towarzystwa popierania przemysłu ludowego w Kr. Polskiem.

Z biegiem lat, rozporządzając coraz większym kapitałem obrotowym, stawali się przedsiębiorcami coraz szerszej ręki i całkowicie opanowywali jarmarki małomiejskie, zwożąc na nie zmagazynowane przez siebie towary i zdobywając taką wyłączność na rynku miasteczka, iż ani jeden koń, ani jedna krowa, ani jedno cielę, ani jedna kura, ani jedno jajko nie mogło przejść bez ich pośrednictwa z rąk sprzedającego wytwórcy do rąk nabywcy — konsumenta.

Jednocześnie, zarzuciwszy sieć swoją na wieś, z powodzeniem dążyli do podobnej wyłączności w dziedzinie handlu zbożem i zdobyli ją istotnie.

Któż z nas nie pamięta owych siwobrodych senjorów kupiectwa żydowskiego, objeżdżających tak niedawno jeszcze temu dwory w okresie przedżniwnym i kupujących zboże „na pniu". Szelest banknotów, wydobytych z wielkiej torby skórzanej, umieszczonej pod chałatem, miał tak wielki urok dla szlachcica, że miękł on szybko na ich widok i wbrew własnemu interesowi sprzedawał nieraz całą produkcję po niższej cenie, zadowolony, że unika wszelkich, związanych ze sprzedażą kłopotów, że tu, na miejscu, u siebie, zawiera tranzakcję i zdobywa gotowy pieniądz.

Mniejszego kalibru kupcy małomiejscy nie spuszczali znów z oka ani jednego „półkorczyka“ żyta chłopskiego i skrzętnie gromadzili je w swoich śpichrzach domowych, dla korzystnej odprzedaży po dobrej cenie do Warszawy, Łodzi lub za granicę, do Niemiec.

Oprzytomnienie przyszło dopiero w chwili, kiedy cały kraj stał już w obliczu faktu dokonanego, kiedy jarzmo wgryzło się już w szyję ludu polskiego, nie zdającego sobie sprawy z tego, że wogóle możliwe są inne drogi handlu i inne pośrednictwo.

Ruch w kierunku uświadomienia szerokich mas ludności co do istoty pośrednictwa żydowskiego i grozy, jaka tkwi w tem zjawisku, jest u nas jeszcze ruchem młodym, stawiającym dopiero pierwsze kroki w „miasteczku“, ale zaznaczającym się wyraźnie i zdecydowanie.

Wiąże się on ściśle z ruchem na polu kooperatywy. Naprzód wielkie zrzeszenie rolnicze w postaci Centralnego towarzystwa rolniczego z siedzibą główną w Warszawie i sekcjami prowincjonalnemi uczyniło wyłom w monopolu żydowskim i zadało mu śmiertelny cios przez dążenie do zcentralizowania w swych rękach handlu ziemiopłodami, do czego doświadczenia wojny obecnej nową jeszcze a cenną dały wskazówkę.

Równolegle do tego sklepy i sklepiki chrześcijańskie w miasteczkach obok spółek i kółek rolniczych po wsiach stały się podwaliną ruchu, pod którego znakiem rozwijać się będzie i musi nowe życie polskie.

I tu wojna nie szczędziła swoich cennych wskazówek. Polski stan drobnomieszczański, pozostawiony tu i owdzie sam sobie, w najcięższych chwilach popłochu i ewakuacji uczył się zaspokajać swoje potrzeby i potrzeby wsi okolicznych „własnym przemysłem". Poznał ważniejsze drogi i tajemnice handlu i do handlu tego nabrał przekonania. Brama, długo na wszystkie spusty zamknięta, stanęła przed nim otworem, a przez jej wierzeje widać dalekie perspektywy lepszego jutra.

Nie można go jeszcze dosięgnąć ręką, ale można i trzeba iść ku niemu, na tej zaś drodze „miasteczko" potrzebuje przedewszystkiem dobrego przewodnictwa, potrzebuje inteligencji, któraby do zacieśnionego życia jego wniosła inicjatywę śmielszą i ramy tego życia rozszerzyła.

INTELIGENCJA MAŁOMIEJSKA.

Od wieków i wszędzie miasta mniejsze oddają swoje najlepsze siły stolicom.

Już starożytny Rzym miał tę nieprzepartą siłę przyciągającą, która prowadziła ku niemu mieszkańców prowincji, rzadko przekładających pierwsze stanowisko w małej mieścinie ojczystej nad dziesięciorzędne u boku Cezara, w środowisku głównem życia państwowego, gdzie nietylko było można robić karjerę, zdobywać dostatki i sławę, ale i wówczas nawet, kiedy widoki na to zawodziły—kąpać się w rozkoszy podziwiania przepychu igrzysk i obcowania z tem, co kultura miała najprzedniejszego na pokaz dla szarego tłumu.

Tak było zawsze i tak jest dzisiaj. Potwornie wielkie miasta nowoczesne żyją stałym dopływem ludności prowincjonalnej. Gdyby dopływ ten zamknąć, okazałoby się, że w tętnicach wielkomiejskich rychło zabrakłoby czerwonych ciałek krwi. Stolice zapadłyby na ostrą

anemję, mieszczaństwo degenerowałoby się szybko i wymierało, jak to się stało niemal wszędzie z dawnym patrycjatem miejskim.

Dla rozwoju życia narodowego, dla ciągłego podsycania ognia na paleniskach tej kuźni, gdzie pod młotem potrzeb kształtuje się teraźniejsze i przyszłe życie narodu, gdzie wre praca wytwórcza, gdzie jest ośrodek główny kultury, promieniujący na cały kraj—niezbędne jest nieustanne wprowadzanie do miast nowych, młodych, niezużytych jeszcze w walce, żądnych zdobyczy sił, których dostarczyć może tylko wieś i tak blizko związane z nią miasteczko.

Nie idzie jednak za tem, aby prowincja miała się doszczętnie wyjaławiać na rzecz miast wielkich, w ten sposób powstaje bowiem zjawisko obustronnie szkodliwe. Z jednej strony w miastach gromadzi się nadmiar ludności, a zwłaszcza, co tak swoiste jest dla naszych czasów, nadmiar proletaryzującej się inteligencji, z drugiej zaś — na prowincyi jest stały tej inteligencji niedobór.

Normalnie biorąc, prawidłowa struktura społeczna opiera się na stopniowem wznoszeniu się warstw dolnych w górę po szczeblach, które przeskakiwać mogą tylko jednostki wybitnie zdolne, tak szczodrze wyposażone przez

naturę, że z łatwością przebywają odrazu drogę od nizin do szczytów.

Średni jednak człowiek i średnia rodzina źle na takich gwałtownych skokach wychodzą: załamują się często w drodze, i wierzchołka, do którego dążą, wcale nie osiągają, lub osiągają go z opóźnienieniem jeszcze znaczniejszem, niż stałoby się to wówczas, gdyby drogę swoją przebywały zgodnie z prawem rozwoju stopniowego.

Ten właśnie *rozwój stopniowy* widzimy bardzo często w historji rodzin drobnomieszczańskich na Zachodzie, szczególnie może we Francji, która posiada doskonale zorganizowany, rodzimy stan trzeci, jeden z najmocniejszych dzisiaj fundamentów dobrobytu narodowego.

Drobnomieszczaństwo to jest stale zasilane przez wieś. Fermer, który osiągnął pewien stopień zamożności, a przedewszystkiem zgromadził pewien kapitał, wciągający go w sferę bardziej złożonych, niż zakup ziemi, operacji pieniężnych, przenosi się do miasteczka i tam zasoby swoje odpowiednio fruktyfikuje.

Nie wychodząc ze swojej sfery, pomnaża w dalszym ciągu swoje środki. Z drobnego rolnika staje się powoli przedsiębiorcą, który ma własną inicjatywę lub naśladuje zgrabnie

i z powodzeniem inicjatywę innych w zakresie przemysłowo-handlowym, wreszcie przedzierzga się w czystej krwi *kapitalistę*, który u kresu życia spokojnie spożywa zdobytą wysiłkami długich lat pracy i zabiegów rentę — owo marzenie każdego prawdziwego francuza.

Syn takiego ex-fermera, wychowany w dobrobycie i zawczasu otrzaskany z interesami ojca, o ile jest zdrową i mocną jednostką, wznosi się z łatwością o kilka stopni wyżej. Często w miasteczku swojem zostaje bankierem, czasem piastuje jakiś urząd honorowy, i nieraz nosi już wstążeczkę kolorową w klapie surduta, choćby skromną odznakę kolonialną.

Z kolei jego synowie, a wnukowie fermera, stają się już *inteligencyą* swojego miasteczka. Kończą studja wyższe, bo mają na to środki, zdobywają dyplomy nie o chłodzie i głodzie, jak u nas i—powracają do swoich miasteczek, jako lekarze, adwokaci, notarjusze i t. p. Mają tam swój dom rodzinny, często pełen smaku pałacyk w starannie utrzymanym ogrodzie—przystosowane do wymagań kulturalniejszych mieszkańców dziedzictwo po dziadach; są związani węzłami pokrewieństwa lub powinowactwa z wybitniejszemi rodzinami swojego miasteczka, cieszą się mirem wśród pozostałej jego ludności, słowem,

zażywają popularności, która, o ile mają ambicje i zdolności w kierunku służby publicznej, prowadzi ich albo do urzędu, albo do łatwego zdobycia mandatu poselskiego. W ten sposób głos ich ma znaczenie nietylko w samorządzie lokalnym, ale rozlega się na ogólnokrajowej trybunie obywatelskiej. Jako deputowani, oddają też często znakomite usługi swoim miasteczkom, gdyż znają doskonale ich potrzeby. Zaś Paryż, jako stolica, wchłania ich dopiero wówczas, kiedy są u szczytu karjery. Staje się to jednak w większości rodzin drobnomieszczańskich nie prędzej, jak po kilku pokoleniach.

Oczywiście, nie jest to regułą bez wyjątku, ale wyjątki właśnie stwierdzają istnienie tej reguły, podobnie, jak wyjątkowe przykłady takiego powolnego wznoszenia się rodzin małomieszczańskich w Polsce, stwierdzają istnienie zgoła przeciwnej reguły u nas.

Jakoż istotnie u nas to przejście z miasteczka prowincjonalnego do stolicy odbywa się odrazu. Imigruje do miast większych nietylko zdolniejszy robotnik i rzemieślnik, przez co stan rzemiosł na prowincji stale się obniża, ale częstokroć i syn ubogiego mieszczanina, o ile kończy szkoły, a nieraz i nie kończąc ich wcale, a zdobywszy tylko ostrogi „półinteligenta"

w praktyce handlowej lub przemysłowej, wchłonięty zostaje przez Warszawę lub Łódź, osiada tam na stałe, zakłada rodzinę i, zasmakowawszy w „wyższej kulturze", zrywa raz na zawsze stosunki ze swojem miasteczkiem. Ojciec i matka jego żyją prosto i zwyczajnie w rodzinnym Pacanowie, uprawiają swoje rzemiosło czy drobny handel, nie zmieniając w niczem trybu życia i klepiąc przysłowiową biedę, gdy dzieci ich są doskonałymi okazami nowoczesnych *struggle for lifer'ów* na bruku wielkomiejskim i, operując tylko naprędce narzuconym pokostem kultury, która, jak wiadomo, dla utrwalenia swego potrzebuje tradycji kilku pokoleń, zdobywają majątki, stanowiska, często nawet idącą w ślad za pieniędzmi popularność i, nie przestając być wewnątrz siebie ordynarnymi łykami, ekspatrjują się zupełnie nietylko z rodzinnego miasteczka, ale i ze środowiska, z którego pochodzą. Kultura wielkiego miasta nic od nich nie otrzymuje, nie są nawet jej spożywcami w zakresie należytym. Również nie czynią nic dla „gniazda rodzinnego", wstydząc się nawet niejednokrotnie swojego „prowincjonalnego" pochodzenia i swojego nazwiska o typowem mieszczańskiem brzmieniu, do którego chętnie dodają szlacheckie „ski" lub „wicz".

A że dzieje się podobnie nietylko wśród ludności chrześcijańskiej naszych miasteczek, ale i wśród ludności żydowskiej, która wszystkie swoje inteligentniejsze i zdolniejsze siły wysyła czy to do Warszawy i Łodzi, czy, o ile miasteczko leży bliżej granicy, do Niemiec, a przez Niemcy, via Hamburg i Bremę do Ameryki, gdzie żyd polski jest zjawiskiem bardzo powszedniem nietylko jako agent towarzystw emigracyjnych i handlarz żywym towarem, ale i na rozmaitych innych stanowiskach, przeto w naszych ubogich, biednych, od świata chińskim murem ciemnoty i zacofania odgrodzonych miasteczkach polskich, litewskich i ruskich nie mógł się wytworzyć ten patrycjat małomiejski, który jednak istnieje, pomimo wychodźtwa do stolic, w miasteczkach francuskich, niemieckich, duńskich, holenderskich i t. d.

Brak inteligencji, związanej z miasteczkiem silniejszym węzłem tradycji i przywiązania, jest tedy brakiem bardzo dla rozwoju naszego życia małomiejskiego dotkliwym.

Nasza inteligencja małomiejska nie jest bowiem wytworem naszych miast mniejszych i miasteczek, ale jest elementem w nich napływowym, przejściowym, na pół tylko osiadłym, w znacznej mierze *koczującym*.

Do miasteczka przybywa ksiądz w charakterze wikarego i po kilku latach opuszcza swoje stanowisko, aby ustąpić miejsca innemu, młodszemu od siebie kapłanowi.

Do miasteczka przybywa również młody lekarz i osiedla się tam na stałe tylko w przypadkach wyjątkowego powodzenia materjalnego, jeśli zaś powodzenie to zawodzi go, ucieka co rychlej gdzieindziej, aż przewędrowawszy kilka lub kilkanaście prowincjonalnych ośrodków życia, dobija do Łodzi lub Warszawy, gdzie dopiero czuje się na właściwem miejscu.

To samo jest w innych zawodach. Wyjątek stanowią jedynie pseudointeligentni pokątni doradcy prawni i — w pewnej mierze — aptekarze, którzy, o ile posiadają w miasteczku aptekę na własność, są z niem związani na dłużej przez tytuł tej własności. I tu jednak mamy do czynienia z częstem przechodzeniem własności z rąk do rąk lub ze stosunkiem dzierżawy.

Pomiędzy tą migrującą po kraju inteligencją, której przedstawiciele dzisiaj znajdują się w południowych okolicach Królestwa, jutro znajdować się mogą w Suwalszczyźnie, obwodzie białostockim, na Litwie albo na Rusi, a miasteczkiem, jako warsztatem ich pracy, nie mo-

że się wytworzyć żaden stosunek bliższy, stosunek taki, jakiego wogóle wymaga wszelka praca kulturalna, oparta na *ciągłości*.

Bez tej *ciągłości* jest tylko nierówne pulsowanie, zależne od indywidualnych poczynań jednostki, uposażonej mniej lub więcej szczodrze w twórczo-społeczne pierwiastki. I tak będzie dopóty, dopóki nie zmienią się ogólne warunki życia naszego, dopóki nie osiągniemy w tym względzie tego, co jest gdzieindziej, t. j. własnej administracji kraju i takich instytucji samorządu lokalnego, które, przywiązując ludność do małych nawet środowisk życia, dają jednostkom zdolniejszym nietylko gwarancję, że mogą siły swoje odpowiednio zużyć na miejscu na dobro współobywateli, ale dają im jednocześnie wystarczający pokarm dla ich ambicji i rękojmię osiągnięcia należytych stanowisk kierowniczych, należycie wynagradzanych.

Wówczas dopiero stanąć będziemy mogli w obliczu podwójnego, dla rozwoju miast mniejszych niezbędnego zjawiska. A mianowicie — z jednej strony miasteczko zatrzyma u siebie potrzebnych sobie wybitniejszych obywateli i odpowiednio ich spożytkuje, z drugiej — miasto wielkie pocznie zwracać miasteczkom inteligencję zawodową, rozwiązując u siebie na

tej drodze niepokojący problemat jej nadprodukcji. Prawidłowa wymiana sił wytwarzać zacznie prawidłowe stosunki.

W ten sposób z koła rozpędowego kultury narodowej, obracającego się w stolicy, przerzucą się siły twórcze zapomocą odpowiednich pasów transmisyjnych na cały obszar kraju i w najmniejszem nawet miasteczku znaleźć się będą mogli odpowiedni ludzie na odpowiednich stanowiskach, kiedy dzisiaj tych właśnie ludzi brak jest wszędzie.

W procesie tym niemałą rolę ma przed sobą do odegrania przyszły stan urzędniczy polski, jako na razie zupełnie nowy a wielce pożądany element kulturalny w życiu miasteczka.

STAN URZĘDNICZY NA PROWINCJI I WYCHODŹCY Z MIAST WIELKICH, JAKO CZYNNIKI KULTURY.

Przez bardzo długie lata głównymi, jeśli nie jedynymi przedstawicielami inteligencji polskiej w naszych miasteczkach byli: ksiądz, lekarz i aptekarz—owa przysłowiowa trójka, poszukująca wiecznie „czwartego“ do winta. O nich obijały się wszystkie sprawy małomiejskie, oni kierowali umysłowem i ideowem życiem miasteczka, od ich wykształcenia, uspołecznienia, dobrej woli, zapału i ofiarnego poświęcenia—aż do narażenia wolności osobistej — zależało życie lub drętwota środowiska, które albo umieli rozbudzić, albo też w którem zasypiali sami, ulegając przemożnym wpływom leniwej, apatycznej atmosfery.

Poza nimi, czynniki „inteligentne“, o ile były w miasteczku, należały do przedstawicieli narodowości obcej.

Byli to urzędnicy administracyjni, sądowi i wojskowi, ludzie najczęściej „prawdziwie ro-

syjscy", z tej kategoryi, o której nawet w głębi państwa rosyjskiego odzywano się z przekąsem.

Nic ich nie wiązało z krajem, prócz karjery i dodatków kresowych.

Nietylko nie obchodził ich stan umysłowy, moralny i ekonomiczny ludności, wśród której nieraz całe przebywali lata, ale, wręcz przeciwnie, działalność ich urzędowa i nieurzędowa, skierowana była ku temu, aby wszelkie objawy życia paraliżować, gasić i tłumić, aby hamować każdy rozpęd i rzucać kamienie pod nogi każdej inicjatywie obywatelskiej.

Były może tu i owdzie wyjątki od tej reguły, ale kompromitowały się one zbyt rychło wobec władzy naczelnej i ulegały translokacjom lub nawet dymisjom. Działalność t. zw. „porządnych moskali", polegająca tylko na patrzeniu przez palce i tolerowaniu słabych objawów życia społecznego, nie mogła pozostawić po sobie żadnych śladów w miasteczku i odbić się dodatnio na jego rysach zasadniczych.

Przez lata całe pozostały więc miasteczka w Polsce tem, czem stały się po roku 1863 — przybytkiem nędzy, brudu i wstecznictwa żydowskiego. Nic się w nich nie zmieniło. Życie na cyłym świecie olbrzymimi krokami poszło naprzód, tu — wszystko się tylko „ku starości

pochyliło", zapadło się w ziemię, przygarbiło, omszało, znieruchomiało, jak stary, nienakręcany zegar, którego wskazówki zawsze jedną i tę samą pokazują godzinę.

Dzisiaj dopiero nadchodzi moment przesunięcia wskazówek na czas właściwy.

Dokonać ma tego przedewszystkiem administracja polska kraju, polski stan urzędniczy, który stopniowo zajmie wszystkie placówki, aby rozpocząć na nich *służbę narodową*.

Służba ta, należycie pojęta i sumiennie spełniona, posiada przedewszystkiem duże znaczenie *kulturalne* dla prowincji.

Świadczy o tem przykład wszystkich krajów, gdzie panowały zawsze stosunki normalne, gdzie pomiędzy ludnością a administracją i magistraturą sądową nie istniały żadne przegrody, gdzie poza stosunkami urzędowymi schodzili się nie obcy z obcymi, nie wrogowie z wrogami, pełni wzajemnych podejrzeń i uprzedzeń, ale swoi ze swoimi, obywatele z obywatelami.

W takich warunkach stan urzędniczy, rozprowadzony gęsto po kraju, a utrzymujący stały kontakt z jego stolicą i w stolicy tej najczęściej kształcony, jest niewątpliwie czynnikiem dużej wagi.

Młody prawnik, który świeżo kończy uni-

wersytet i zjawia się na prowincji, jako aplikant biurowy; młody oficer, który przybywa ze swym batalionem do nadgranicznego miasteczka, i wogóle każdy reprezentant władzy państwowej, o ile jest człowiekiem wykształconym i kulturalnym, wchodząc do środowiska prowincjonalnego, wnosi tam z sobą atmosferę ideałów, dążeń i aspiracji, ożywiających jego pokolenie.

W ten sposób atmosfera miasteczka, najbardziej nawet zasklepionego w swojem cichem, dalekiem od wielkich traktów kultury, życiu, ulega co pewien czas odmłodzeniu i odświeżeniu. Nie może już tam być mowy o takim zastoju i takiej beznadziejnej martwocie, jakich smutne przykłady są u nas i to w najbliższem nawet sąsiedztwie Warszawy, w odległości kilkudziesięciu zaledwie kilometrów od stolicy kraju.

Jeżeli też na pierwszy rzut oka uderza nas w miasteczkach niemieckich, holenderskich, belgijskich i francuskich ich „kulturalny“ wygląd, polegający na prawidłowem i racjonalnem zabudowaniu, na obfitości will i domów w ogrodach, na porządnem wybrukowaniu ulic i czystem ich utrzymaniu, to trzeba sobie uświadomić, że to wszystko nie stało się z dnia na dzień, z rozkazu państwa i za dotknięciem je-

go różdżki czarodziejskiej, ale urabiało się przez dziesiątki lat na drodze kulturalnego rozwoju miasteczka, wzrostu jego potrzeb estetycznych i cywilizacyjnego dojrzewania.

A w tym właśnie procesie *dojrzewania* niemałą rolę odgrywał, jako element pobudzający, stały dopływ do takiego miasteczka młodych sił inteligentnych, które z wielkich środowisk życia narodowego przynosiły tu swoje wymagania i swoje pojęcia o życiu. Były to zaś przeważnie siły urzędnicze.

Od nich wychodziła niejednokrotnie inicjatywa do śmielszych i szerszych poczynań oświatowych i społecznych, których popieranie leżało w interesie państwa, coraz częściej szukającego pomocy i zastępstwa nietylko w instytucjach samorządu miejscowego, ale i w instytucjach, stworzonych przez dobrą wolę pojedyńczego obywatela lub prywatnych zrzeszeń obywatelskich.

Państwo bowiem ma nietylko swój program militarny, ekonomiczny i społeczny, zmierzający do skierowania jak największych dochodów do swego skarbu, ale ma także i program kulturalny, na którego stopniowe urzeczywistnianie łoży mniej lub więcej szczodrze z tego samego skarbu, w słusznem prze-

świadczeniu, że wkłady, czynione w tym kierunku, znakomicie się w przyszłości opłacą.

Program ten musi jednak znaleźć oparcie w społeczeństwie, musi być przez opinję publiczną zrozumianym i uznanym za pożyteczny, za odpowiadający istotnym potrzebom zbiorowym, nadto musi być spopularyzowanym w jak najszerszych warstwach.

Do takiej właśnie popularyzacji zamierzeń kulturalnych rządu wśród warstw mniej oświeconych, nie posiadających własnej inicjatywy twórczej w zakresie zaspokajania i przewidywania swoich potrzeb, powołany jest stan urzędniczy w krajach, gdzie rząd cieszy się zaufaniem społeczeństwa, gdzie społeczeństwo wie, że władza wyższa i najwyższa troszczy się nieustannie nietylko o materjalny, ale i o duchowy dobrobyt narodu, o wzrost jego umysłowego i moralnego stanu posiadania, o *maximum* zadowolenia wszystkich warstw społecznych, które w ten sposób widzą w państwie rękojmę swego dobrobytu, spokoju i szczęścia.

W pracy tej rząd potrzebuje nie współzawodnictwa ze strony partji wywrotowych, jak to się działo w Rosji, gdzie pod bokiem absolutyzmu z niesłychaną łatwością, korzystając z podatnego gruntu, szerzyła się wszelka, naj-

dalej nawet idąca agitacja wywrotowa, — ale *współdziałania* ze strony zrównoważonych czynników ładu, porządku i postępu rzeczywistego. O współdziałaniu zaś takiem niema mowy tam, gdzie pomiędzy obywatelem a urzędnikiem państwowym nie wytworzyła się harmonja w stosunku pojmowania stosunku państwa do narodu i narodu do państwa.

Harmonję taką wytwarza oczywiście i przedewszystkiem wspólny interes narodowy, budowany na wspólnej miłości ojczyzny.

Tylko urzędnik i obywatel, którzy są ludźmi jednego poczucia obowiązku narodowego, mogą iść ręka w rękę, mogą rozumieć się dobrze i pomagać sobie wzajemnie—i to nietylko pod okiem władzy naczelnej w stolicy kraju, ale i w najbardziej deskami zabitych kątach prowincji.

I właśnie tam—im dalej od siedziby głównej rządu, im trudniejsze jest bezpośrednie połączenie z centralnym mózgiem i z centralną wolą państwa, tem większe posiada znaczenie indywidualność urzędnika, jego charakter, jego takt, jego zdolność do samodzielnej, w granicach przysługującego mu prawa, inicjatywy rozstrzygającej i twórczej.

Dlatego też dobór urzędników prowincjo-

nalnych posiada pierwszorzędne dla kraju znaczenie, a rola ich, jako krzewicieli kultury w najmniejszych nawet ośrodkach życia, jest równie cenna dla państwa, jak i dla społeczeństwa.

Cały kraj nasz stoi w przededniu wielkiej przemiany. Po wojnie ma się w nim zacząć nowe życie, na nowych oparte podstawach. Zawrze i zakipi wszędzie praca przez nas samych i dla nas samych prowadzona, z myślą przewodnią o naszem własnem jutrze, ze świadomością odpowiedzialności wobec tego jutra za wszystko złe i uznania za wszystko dobre.

Odpowiedzialność ta będzie odtąd wspólna— i rządu polskiego i narodu polskiego, który ten rząd z siebie wyłoni. Obie strony muszą więc mieć jednakowe poczucie oczekujących je zadań.

Przyjdzie chwila—i może jest już blizka— kiedy do opuszczonych, zaniedbanych, zrujnowanych w dodatku przez wojnę „miasteczek" naszych o niejednolitej ludności z wbitą w swoje małe i skromne życie drzazgą separatyzmu żydowskiego, napływać poczną urzędnicy państwowi polscy różnych dykasterji, aby stać się tam nietylko ekspozyturą władzy, ale i czyn-

nikiem, pobudzającym odrętwiałe w długim śnie środowiska do pełnego życia.

Tętno tego życia, jego rytm i jego celowość zależeć będą przedewszystkiem od składu i dojrzałości samorządnej gminy miejskiej, jako głównego organu gospodarczego. Ale wpływ urzędnika państwowego będzie i tutaj pożądany, a inicjatywa jego może mieć skutki dobroczynne, jeśli będzie inicjatywą obywatela, jaśniej i bystrzej widzącego od innych.

Pod wpływem tej inicjatywy miasteczka nasze zaczną się przekształcać i odrabiać swoje zaległości, widząc, że państwo nietylko im w tem nie przeszkadza, jak było dawniej, ale pomaga, że wychodzi naprzeciw życzeniom i dążeniom ludności i za pośrednictwem swojego przedstawiciela wgląda we wszystkie jej potrzeby.

Ten *przedstawiciel państwa* — a wszystko jedno, czy będzie nim nauczyciel szkoły rządowej, czy sędzia śledczy, czy urzędnik polityczny, czy poborca podatkowy, czy oficer załogi miejscowej — musi to atoli zadokumentować, musi wartością swoją kulturalną stworzyć podwalinę pod nowy zupełnie stosunek rządzonego do rządzącego.

I tu jeszcze raz na jaw wychodzi, jak doniosłą rzeczą dla prowincji jest przeznaczony

dla niej urzędnik, jak wysoki powinien być jego ciężar gatunkowy jako *człowieka* i *obywatela*, aby tem łacniej wykazać mógł różnicę, zachodzącą pomiędzy nim a pomiędzy jego poprzednikiem.

* * *

Obok stanu urzędniczego, czynnikiem, rozprowadzającym po kraju kulturę w jej formach gotowych, są wszędzie jednostki i rodziny inteligentne, emigrujące na starość z wielkich miast i osiadające w małych miasteczkach.

Coraz trudniejsze warunki istnienia w stolicach, wzrastająca wskutek spekulacji rentą gruntową, cena mieszkań w wielkich miastach przy jednoczesnej drożyźnie produktów żywnościowych, oddawna już wywołały na zachodzie ruch wychodźczy, kierujący na prowincję rentjerów, wysłużonych urzędników, wojskowych i wogóle ludzi, zmęczonych życiem, poszukujących ciszy i spokoju, a posiadających dostateczne środki na to, aby już nie pracować z codziennym wysiłkiem.

Zwłaszcza w Niemczech, Austrji i Francji, których życie państwowe, oparte o rozgałęzioną i przytłaczająco liczną biurokrację, wytwarza całe falangi emerytów, otrzymujących wzamian

za „zmarnowaną“ przy biurku młodość prawo do wczesnego niedołęstwa i wypoczynku z pensją— znane są „miasta emerytów“, gdzie w małych willach, tonących w zieleni ogrodów, które wabią przechodniów z poza kraty grzędami starannie wyhodowanych kwiatów, mieszka spokój i cisza rodzin, niegdyś w wielkich środowiskach miejskich osiadłych, dzisiaj wygrzewających swój artretyzm na słońcu małej mieściny i dożywających swego życia w wygodnej beztrosce zapewnionego dobrobytu.

U nas tego rodzaju wychodźtwo należy jeszcze do zjawisk bardzo rzadkich—naprzód z powodu zbyt rażących, kontrastowych, różnic kulturalnych, które zachodzą pomiędzy Warszawą a mniejszemi miastami i miasteczkami kraju, potem wskutek braku polskiego stanu urzędniczego o wyższym poziomie kulturalnym, tudzież—o ile idzie o warstwy inne, nieurzędnicze— wskutek nieopatrznego i nieprzezornego życia inteligencji polskiej, pracującej w wolnych zawodach, wśród której *rentjer* jest jeszcze zjawiskiem niesłychanie rzadkiem, wreszcie, wskutek względnej przed wojną taniości Warszawy, co pozwalało na pozostawanie w jej murach rodzinom mniej niż średnio zamożnym, za cenę pewnych tylko, łatwych do zniesienia prywacji,

otrzymującym wzamian wszystkie *plusy* życia wielkomiejskiego.

Zaledwie też w najbliższem sąsiedztwie Warszawy powstały w ostatnich czasach siedziby podmiejskie o charakterze półletnisk, w których zaczęły ognieżdżać się na stałe rodziny z miasta.

Ten stan rzeczy ulegnie jednak po wojnie niewątpliwie radykalnej zmianie.

Naprzód mało jest widoków na to, aby w pierwszych latach pokoju, którego konjunktur ogólnoświatowych niepodobna wyobrazić sobie optymistycznie, nastąpić mogło takie obniżenie cen produktów najpierwszej potrzeby, które odciążyłoby odrazu budżety rodzin, rozporządzających średnimi dochodami, z nadmiernych dzisiejszych wydatków.

A gdyby nawet obniżenie to w ciągu kilku lat dokonało się istotnie, to w żadnym razie nie może być mowy o powrocie do norm przedwojennych.

Pociągnie to za sobą ten skutek, że środki, zapewniające *minimum* egzystencji w mieście, podniosą się znacznie, co wytrąci z równowagi wiele budżetów, przyczem wydatki na samo przeżywienie się pochłoną od 50% — 70% tych budżetów, gdy przed wojną trzymały się one w granicach od 35% do 50%.

W wyniku tego, nie setki i tysiące lecz dziesiątki tysięcy rodzin, nie zmuszonych stosunkami pracy zarobkowej do stałego przebywania w Warszawie lub mogących z równą dla siebie korzyścią pracować poza Warszawą, będą zniewolone do przeniesienia się na prowincję, naprzód w promieniach kilku mil od stolicy, potem w miarę ulepszania się komunikacji, powstawania nowych linji kolejowych, wzrostu sieci połączeń pocztowych, telegraficznych i telefonicznych oraz kulturalnego podnoszenia się miasteczek — w coraz odleglejsze strony aż do najbardziej pod względem położenia estetycznego i warunków klimatycznych nadających się na takie osady miasteczek, położonych na podgórzu świętokrzyskiem w kieleckiem, sandomierskiem i części piotrkowskiego.

Leży to zarówno w interesie ludności stołecznej, jak i w interesie gmin małomiejskich.

Miasteczka, które pierwsze potrafią wytworzyć u siebie dobre warunki istnienia, które podniosą swój stan zdrowotny przez odpowiednie urządzenia i zorganizowanie troskliwego dozoru sanitarnego, które będą miały dostateczną ilość schludnych domów w ogrodach do wynajęcia, lub które potrafią tak poprowadzić swoją politykę gminną, odpowiednio popartą

przez czynniki państwowe, że zachęcą przybyszów do nabywania działek gruntowych i budowania na nich will bądź własnym kosztem, bądź przy pomocy powołanych do tego akcyjnych towarzystw budowania domów po miasteczkach na zasadach długoterminowego kredytu—takie miasteczka wejdą szybko na drogę rozwoju i szybko przeistoczą się nietylko w miłe dla oka siedziby, ale i w ogniska rzetelnej kultury, opartej o silną warstwę mieszkańców, posiadających określone potrzeby, wymagania i dążenia kulturalne.

Ażeby to osiągnąć, miasteczka muszą jednak, nie czekając aż manna lepszej doli spadnie sama z nieba, obudzić w sobie odpowiednie ambicje i świadomie współdziałać zbliżającemu się procesowi przemiany.

AMBICJE MAŁOMIEJSKIE.

Ambicje małomiejskie poszły w Polsce w najfałszywszym kierunku, przybierając charakter współzawodnictwa na terenie towarzyskim. Wynoszenie się nad innych, nadętość, próżność, przechodząca w mimowolny komizm emulacja pomiędzy rodziną aptekarza a rodziną lekarza lub pocztmistrza, szacowanie się według pochodzenia, według koneksji w mieście wielkiem lub w okolicznych dworach wiejskich, według powinowactw w stylu „dziesiątej wody po kisielu“, słowem to wszystko, co oddawna już znalazło odzwierciedlenie w typach komedjowych i w satyrze, której, istotnie, *trudno nie pisać*, zetknąwszy się z tym „małym światkiem nowoczesnym“ intryg, plotek, obmów, nienawiści i zawiści—stanowi znane powszechnie cechy charakterystyczne życia małomiejskiego w Polsce.

Ma ono swoje, od dziesiątków lat utrwalone, przez tradycję uświęcone, przez rozleniwienie życia głęboko wkorzenione nawyki i przy-

zwyczajenia, które często są silniejsze ponad bunt jednostki, wchodzącej w to środowisko i przeciwstawiającej się śmiało miejscowym przesądom.

Jednostka taka, rzucona na pastwę miasteczka, rychło staje się przedmiotem powszechnych, ostrych ataków. Obserwowana bacznie, stale kłuta jest igłą czujnej kontroli i drażniona wglądaniem w jej osobiste sprawy.

Zasiedziała w miasteczku „inteligencja", stanowiąca komplot, oparty na wzajemnem uznawaniu wszystkich swoich wad i śmieszności, organizuje się wówczas przeciw obcemu przybyszowi i występuje do walki z nim, jako zwarta falanga. A skoro kości są rzucone, rozpoczyna się walka na śmierć i życie, w której wyniku albo śmiałek ulegnie i, „wszedłszy między wrony", pokornie złoży broń, albo zostanie wygryziony, jak obcy ptak, który do cudzego trafił gniazda. Jedno z dwojga — kapitulacja i poddanie się miejscowemu zwyczajowi przez manifestacyjne hołdownicze uderzenie czołem opinji „sfer" pacanowskich czy mrzygłodzkich, lub też dobrowolna ucieczka z pola w imię zasady: „wracaj, skąd przyszedłeś".

Innego wyboru niema. I dlatego mówić

u nas można z całą słusznością o tem, że „prowincja ludzi zjada“. Zjadała ich istotnie. Rzadko wyrabiali się tam do niedawna dzielni pracownicy, śmiali inicjatorowie życia, o wiele częściej natomiast zasypiały energje młode, poddając się powszechnemu bezwładowi.

Ileż to pięknych ideałów, zerwanych w latach uniwersyteckich z drzewa zapału do reform i przekształcania życia na modłę nowoczesną, zwiędło w miasteczku po kilkoletnim pobycie w niem młodego lekarza?

Na palcach można było przecież w kraju naszym policzyć ludzi, którzy przez obecność swoją w małomiejskiem środowisku, stworzyli coś trwałego, nieprzemijającego i gdybyśmy więcej posiadali byli w swoim czasie na prowincji ludzi takich, jak ś. p. dr. Rutkowski w Płońsku, którego imię stało się niejako symbolem pracy społecznej lekarza, życie małomiejskie oddawna wyszłoby z swoich wązkich, zasklepionych łożysk i spłynęło w rączym potoku do szerokiej rzeki dążeń narodowych.

Tej miary „twórcze siły“ należą jednak nietylko w naszem, ale i w innych społeczeństwach do zjawisk rzadkich, niepodobna więc wymagać, abyśmy nowe życie w kraju tworzyli wy-

łącznie przy pomocy ludzi, którymi opiekuje się dobry genjusz poświęconego czynu.

Życie miasteczka polskiego budować i przekształcać może i musi „człowiek średni“, obywatel, świadomy swoich zadań i zadania te spełniający sumiennie, rozumnie i uczciwie.

Temu właśnie człowiekowi i obywatelowi, poza odpowiedniem przygotowaniem do tej czy innej pracy zawodowej, trzeba wszczepić *ambicje* inne, niż te, które ożywiają go dotychczas.

Ambicje te zaś mogą się zrodzić tylko z głębszego ukochania życia twórczego i z szerszego, niż dotychczas, ogarniania horyzontów ogólnonarodowych.

Mieszkańcy „miasteczka“ muszą przedewszystkiem zdawać sobie sprawę z tego, że owo „miasteczko“, o którem często odzywają się z lekceważeniem, mimo, że spędzają w niem całe życie lub znaczną jego część i zawdzięczają mu swój byt i dobrobyt—jest CZĄSTKĄ OJCZYZNY, tak samo, jak cząstkę taką stanowi majątek ziemski lub zagon chłopski, ojczyzna bowiem składa się z tych drobnych, poszczególnych cząstek, które my, Polacy, posiadamy w niej na własność. Dopóki są one *nasze*, dopóki ta ziemia, na której stoją polskie dwory, polskie chaty i domy miasteczek polskich, jest

w naszych rękach, dopóki jesteśmy jej pełnymi właścicielami, rozporządzającymi każdą jej piędzią—dopóty jest Polska. Skoro jednak dziedzictwo to z rąk naszych wypuścimy, skoro zacznie się ono przez naszą lekkomyślność lub niedołęstwo uszczuplać — uszczuplać się będą także granice Polski, stan naszego posiadania narodowego zacznie się kurczyć i powoli zejdzie do zera. Nie przywróci go już najsilniejsze napięcie uczucia narodowego, największy sentyment dla Ojczyzny, bo ta ojczyzna przestanie być ojczyzną realną, stanie się pojęciem bez ciała, krwi i kości, które „jak dźwięk pusty przejdzie w pokolenia".

Proces ten złowróżbny i grożący narodowi katastrofą większą od dotychczasowych, niestety, już się rozpoczął.

Widownią jego są nietylko miasta większe, gdzie ogromna odsetka własności nieruchomej znajduje się w rękach niepolskich, ale i małe miasta, gdzie w ciągu ostatnich lat 50-ciu przez znaczny wzrost ludności żydowskiej wytworzyły się bardzo niepokojące na przyszłość stosunki.

Wzmocnienie stanu posiadania narodowego przez nabywanie nieruchomości w miasteczkach jest tedy jednym z najpierwszych nakazów pol-

skiego sumienia obywatelskiego dla ich mieszkańców.

Przez posiadanie wytwarza się węzeł trwałego interesu pomiędzy obywatelem a miasteczkiem. Interesu tego nie należy odrzucać, jako sprawy poziomej w stosunku do górnego ideału naczelnego. Przeciwnie, im silniejsze będzie poczucie tego interesu, tem lepsze warunki stopniowego urzeczywistnienia się zyska dla siebie ideał.

Mieszczanin, który posiada w miasteczku swój dom, zwłaszcza jeżeli to jest dom rodzinny, dziedziczny, do którego ścian przywarły dzieje kilku pokoleń, dom, w którym mieszkali, pracowali, cieszyli się i smucili w zmiennych kolejach losu dziadowie i ojcowie,—to prawdziwe „gniazdo rodzinne", które na każdym stopniu kultury materjalnej czy moralnej posiada swój specjalny sentyment—taki *mieszczanin-obywatel* zgoła już innem okiem patrzy na całokształt otaczającego go życia i bardziej świadomy bierze udział w procesach przetwórczych tego życia.

Nie jest on już tylko obojętnym widzem tego, co się w miasteczku dzieje, ale występuje w jego życiu, jako czynnik, któremu zależy na polepszeniu warunków ogólnych, bo przez to polepszą się także jego warunki osobiste. Za-

brukowanie ulicy, światło, dobra woda do picia, kanał, odprowadzający nieczystości, poczta, telegraf, telefon, szkoła, kasa pożyczkowo-oszczędnościowa, filja wielkomiejskiego banku, kooperatywa, założenie fabryki w miasteczku, osiedlanie się w niem rzemieślników, doprowadzenie do niego odnogi kolejowej i t. d.—wszystko to wchodzi w zakres jego interesów, zazębia się o nie pośrednio lub bezpośrednio, podnosząc doraźnie wartość jego majątku lub tworząc pomyślne dla takiego podniesienia się na przyszłość horoskopy.

Wzrost interesu osobistego staje się w ten sposób sprzymierzeńcem stałym rozwoju środowiska, w którem dana jednostka posiada swoją własność.

Obywatela miasteczka X mniej obchodzić musi z natury rzeczy to, co dzieje się w miasteczku Y. Jako dla Polaka, ogarniającego całość życia narodowego, nie może to być dla niego obojętne, ale oczy jego będą zawsze szerzej otwarte na potrzeby miasteczka X, bo braki i upośledzenia jego odczuwa on na własnej skórze. Zaspokojenie zaś tych braków i chęć prześcignięcia w tym względzie miasteczek sąsiednich powinny być stałym bodźcem jego po-

czynań obywatelskich, stałą, rosnącą ciągle jego ambicją.

Tylko dla takich ambicji i tylko dla takich współzawodnictw jest miejsce w miasteczku.

Dawniej ambicje takie posiadała szlachta, posiadał je także patrycjat miejski XVI-go w., dzisiaj posiąść je musi mieszczaństwo, w nowoczesnem znaczeniu tego pojęcia, to mieszczaństwo, które „było dotąd niczem“, a które w Polsce jutrzejszej, jeżeli nie może się „stać wszystkiem“, jak stało się we Francji po Wielkiej Rewolucji, to powołane jest do odegrania pierwszorzędnej roli w zakresie twórczo-kulturalnym, zanim *lud* zcementuje się w *naród* i dojrzeje do podjęcia wszystkich zadań narodowych.

Dlatego poszczególni obywatele miasteczek naszych, jako prowincjonalnych ognisk kultury, ścierać się z sobą powinni nie na gruncie emulacji towarzyskich, nie przez roztaczanie „pawiego ogona“ próżności, ale na gruncie szlachetnego współzawodnictwa o podniesienie kulturalne naprzód własnej siedziby, własnego domu, własnego ogrodu, potem — ulic, placów, budynków publicznych i urządzeń sanitarno-estetycznych całego miasteczka.

Ambicją każdego mieszkańca miasteczka — i ambicją uzasadnioną, godną jak najszerszego

poparcia — może być ambicja, aby posiadany przez niego dom był najlepiej zbudowanym i najładniejszym domem w mieście, aby każdy przyjezdny zatrzymywał się przy nim i zadawał pytanie: „Czyja to siedziba?"

W miasteczkach naszych, posiadających zabytki przeszłości, niejednokrotnie podziwiamy kamienice, które w wieku XVI-ym należały do tej czy innej rodziny *patrycjuszowskiej*. Nazwisko tej rodziny żyje w tradycji, wrzeźbione w pamięć pokoleń. Za naszych czasów i po nas nic jednak nie przekaże potomności naszego dorobku architektonicznego, bo go niema, i nic nie zaświadczy o naszym smaku, o naszych upodobaniach, a nadewszystko o naszym *wysiłku*, o naszej chęci pozostawienia po sobie trwałego śladu na ziemi ojczystej.

Nikt też z pewnością za lat 100 nie zapyta, kto posiadał w r. 1917, podczas wielkiej wojny światowej, nikłą, banalną, niesmaczną kamieniczkę z żelaznym balkonem w miasteczku Iksinowie, bo kamieniczki tej albo nie będzie już wcale, albo też pozostanie ona tylko jako pomnik braku jakichkolwiek ambicji naszych w dziedzinie budowlanej, jako wykładnik ubóstwa i nędzy naszej smutnej epoki, która żyła tylko dla siebie, bez myśli o jutrze.

I gdybyśmy przynajmniej zostawili po sobie pokoleniom następnym „Polskę murowaną“, bezpieczną od pożarów, schludną, czystą i mocną, choć nie estetyczną, Polskę, któraby świadczyła o zmyśle praktycznym pokoleń, wychowanych w utylitarno-materjalistycznej atmosferze „bankructwa ideałów“ i tryumfu zasad pozytywnych, ale i to nie. Polska, wbrew legendzie o Kazimierzu Wielkim, była i jest ciągle jeszcze drewnianą. Nietylko wsi, ale i ogromna większość miasteczek naszych, drżeć musi ustawicznie przed klęską ognia, który całe ich kwartały w ciągu kilku godzin obrócić może w perzynę.

Statystyka*) stwierdza, że zaledwie w czterech miastach polskich domy murowane stanowią więcej niż połowę ogółu budowli. Taka Łódź np. liczy zaledwie 33.9% budowli z muru. Na 122 miasta zaledwie 29 ma ponad czwartą część domów murowanych, natomiast 39 miast ma ich mniej niż 10%. Za to nadzwyczajnie dużo jest budowli z drzewa: w 29 miastach stanowią one przeszło $^{9}/_{10}$ wszystkich budowli; w 64 mia-

*) Zob. Dr. Edward Grabowski. „Stan budowli w miastach Królestwa Kongresowego w r. 1912“. Ekonomista. Tom III i IV, str. 148.

stach—przeszło $^3/_4$; domy drewniane są w mniejszości zaledwie w 15 miastach, a w pozostałej większości miast — *przeważnie drewnianych* — znajdujemy takie duże miasta, jak Łódź (59.6% budowli z drzewa), Włocławek (54.4%), Kielce (64.8%), Łomża (70,8%), Siedlce (76.1%) i Suwałki (83%).

Co do pokrycia dachów, to stosunki przedstawiają się nieco lepiej, ale bynajmniej nie dają pola do wniosków optymistycznych.

„Zazwyczaj przeciwstawia się słomiane strzechy na wsi miejskim twardym pokryciom — mówi dr. Grabowski. Tymczasem w takiem dużem mieście (15,000 ludności), jak Hrubieszów, *prawie* $^9/_{10}$ *dachów* — to słoma. Pokrycie słomą *przeważa* nadto jeszcze w trzech innych miastach wschodu Kongresówki. Stanowi ono *przeszło trzecią część* wszystkich dachów w jedenastu miastach, a z tej liczby na lewym brzegu Wisły — naogół lepiej zabudowanym — w Rawie i Jędrzejowie. Słoma stanowi *przeszło* 10% pokrycia w 55 miastach, między innemi w tak dużych miastach, jak Siedlce (12% słomy), Chełm (10.1%), przemysłowy Ostrowiec (12.3%), Zamość (21.4%). Pozatem z większych miast sporo pokrycia słomą spotykamy w Łomży (7.5%), w Piotrkowie (6.6%) i we Włocławku (5.5%).

Cóż więc dopiero mówić o „miasteczkach"! Już w tej jednej dziedzinie mamy do uczynienia bardzo wiele. Młot murarski i kielnia mają przed sobą w miasteczkach polskich dziesiątki lat pracy. Twórczość architektów ma szerokie pole do wyzyskania, a indywidualność narodowa—teren niesłychanie wdzięczny do zaznaczenia się i wyraźnego na obliczu całego kraju zarysowania swoich dążeń do rodzimego kształtu.

To, co jest w miasteczkach naszych swojskiego, co nadaje im piętno osobowe, co stanowi ich charakter i odróżnia je od miast w innych krajach—w znacznej mierze, jeśli nie wyłącznie, zawdzięczamy przeszłości, ostatnie bowiem ślady rzeczywistej architektury, ślady t. zw. „polskiego empire'u" należą do epoki Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Czasy nowsze nie dały nam nic w tym kierunku, a tam, gdzie istniał pęd do rozwoju, gdzie wskutek przeprowadzenia linji kolejowych i szczęśliwych konjunktur ekonomicznych to i owo miasteczko rozrosło się i wzbogaciło, zewnętrzna jego postać przybrała najbanalniejsze cechy przedmiejskiego bezsmaku.

Rząd rosyjski nie budował w Królestwie nic poza koszarami i składami monopolu wód-

czanego. Żadnemu miastu nie przybył w tym okresie ani ratusz, ani jakikolwiek inny nie już gmach, ale budynek o charakterze publicznym. Nad wszystkiem zawisnęła jakaś tymczasowość, jak dzisiaj widzimy, uzasadniona, wynikająca z przeświadczenia o nietrwałości panowania w kraju podbitym. Ta sama „tymczasowość“ zatruła jednak atmosferę życia obywatelskiego naszej prowincji, zatrzymała jego rozwój, osłabiła jego tętno, wyjałowiła je z inicjatywy i, nadewszystko, obniżyła potrzeby kulturalne mieszkańców naszych miast i miasteczek.

Mieszczaństwo małomiejskie, pozostając przy typie „własnego” domu rodzinnego, najczęściej bez lokatorów, w pojęciu takiego domu nie wzniosło się jednak ponad miarę skorupy ślimaczej, tej małej, ciasnej małżowiny, która świadczy o małych, ciasnych potrzebach, o braku aspiracji, rozsadzających tę skorupę, w której wnętrzu mieszka jeszcze tyle ciemnoty i zacofania, ile ich już nigdzie na świecie znaleźć nie można.

Aspiracje te obudzić, dążenia do światła ugruntować, drożdżami ambicji zaczynić i zmusić do rośnięcia życie małomiejskie—oto zadanie doby najbliższej, zadanie, które równolegle

podjąć muszą—z jednej strony wybitniejsze jednostki w miasteczkach, pragnące nietylko spokojnie życie tam przeżyć i spocząć na miejscowym cmentarzu pod kamieniem z niegramatycznym napisem, ale rozumiejące głębszy sens życia wogóle, a życia polskiego w szczególności i zdające sobie sprawę z obowiązku współdziałania jego twórczym i przetwórczym procesom; z drugiej strony — samorządne gminy małomiejskie, jako ciała zbiorowe, organizujące życie i rozporządzające w zakresie spełnienia swoich zamierzeń taką egzekutywą, jakiej jednostka posiadać nie może.

Gmina małomiejska także powinna mieć swoje ambicje, swoje dążenia i aspiracje, będące jednocześnie syntezą usiłowań jednostkowych i wytwarzające atmosferę, w której takie usiłowania mogą powstawać, dojrzewać i urzeczywistniać się, znajdując oparcie i poparcie w reprezentacji miejskiej i krajowej.

POLITYKA GMINY MAŁOMIEJSKIEJ.

Dla odbudowy i przebudowy naszego kraju po wojnie, dla uleczenia go z klęsk, które przekazała nam przeszłość i które wyrosły na gruncie opłakanej teraźniejszości, wiele uczynić mogą: inicjatywa twórcza, ambicja i wysiłek jednostek.

Właściwą jednak *budowniczką* naszej przyszłości, wykonawczynią zamierzeń poszczególnych, organizatorką naprawdę nowego życia na szerokich podstawach demokratycznych, będzie zbiorowość polska, zespolona przez silne poczucie narodowe i państwowe, a rozbita na poszczególne gminy miejskie i wiejskie, które, jako ciała samorządne, staną w obliczu wielorakich zadań.

Od objęcia i spełnienia tych zadań zależy przyszłe oblicze kraju.

Przez gminę przefiltrować się muszą wszelkie pomysły indywidualne, wszelkie zamierzenia, wszelkie innowacje. Ona je odrzuci lub zaaprobuje i wykona.

Stąd charakter i cele polityki gminnej nabierają wielkiej wagi dla całego kraju.

Gmina będzie z jednej strony oparciem dla kulturalnej pracy, podejmowanej przez państwo, z drugiej — zyska w państwie pomoc w kierunku zaspokojenia swoich potrzeb, z któremi śmiało pójść może przed oblicze najwyższej władzy państwowej.

I dlatego gmina małomiejska, tak samo jak wielkomiejska, potrzebuje tęgich ludzi, jasno rozumiejących stan jej obecny i drogi, po których powinien pójść jej rozwój, potrzebuje, innemi słowy, śmiałych i przedsiębiorczych, inteligentnych i energicznych kierowników i przedstawicieli zarówno na małej arenie samorządu lokalnego, jak i na szerszej widowni powiatowej, ziemskiej czy wojewódzkiej, wreszcie na ławach parlamentu czy sejmu w stolicy, gdzie głos ich byłby nietylko słuchany ale i wysłuchiwany.

Tych ludzi musi ona sobie *wyrobić*, a zanim wyrobić ich zdoła, musi *zdobyć* ich sobie przez transplantowanie inteligencji czynnej i twórczej z tych środowisk, gdzie znajduje się ona w nadmiarze. Nie wystarczy jednak sama transplantacja. Trzeba tych, którzy w miasteczku się osiedlą, związać z jego sprawami na sta-

łe, bezdomności ich i dalszemu koczowaniu po kraju zapobiedz, uczynić z nich miejscowy żywioł obywatelski.

Od wzrostu i stanowiska tego żywiołu zależy przedewszystkiem przyszła polityka naszych gmin małomiejskich.

Zakres jej będzie tem szerszy, im szersze będą widnokręgi powołanych przez nią do steru ludzi. Nie można bowiem łudzić się co do tego, że najszlachetniejsze nawet i o najlepszych intencjach jednostki, wychowane atoli w ciasnym tylko kręgu widzenia, jaki „tępemi oczy“ zakreśla dzisiaj *przeciętny* mieszkaniec prowincji, okażą się nieodpowiedniemi przy podejmowaniu obliczonych zwłaszcza na dalszą metę i wychodzących poza ramy bezpośrednich interesów chwili zadań polityki społecznej i gospodarczej miasteczek o prostem nawet, zgoła nieskomplikowanem życiu.

Zwłaszcza polityki społecznej.

Tu długo jeszcze trzeba będzie umiejętnie manewrować pomiędzy Scyllą a Charybdą i tak sprawy prowadzić, aby stosunków istniejących nie zaogniać, ale je zabliźniać i goić.

Miasteczka nasze nie posiadają ludności jednolitej, ożywionej jednemi dążeniami do odrodzenia, zcementowanej mocno na podstawie

jednego ideału narodowego i gotowej do jednakowych dla tego ideału poświęceń i trudów. I z tem liczyć się trzeba poważnie.

Ludność żydowska ideałowi temu przeciwstawia się już dzisiaj i prawdopodobnie przeciwstawiać się będzie coraz wyraźniej aż do czasu zupełnego rozstrzygnięcia sprawy żydowskiej u nas.

Co więcej, niezależnie nawet od tego, jak sprawa ta wogóle zostanie rozstrzygnięta, jakie w tym kierunku wskazania wyjdą od rządu polskiego i w jakim zakresie nastąpi równouprawnienie obywatelskie Żydów, każde miasteczko, biorąc pod uwagę swoje warunki własne, % mieszkających w niem Żydów i wzajemne, ułożone przez czas pomiędzy ludnością chrześcijańską a żydowską stosunki, prowadzić będzie musiało w pewnej mierze swoją własną, samodzielną politykę żydowską.

Kraj nasz jest w tej chwili w stanie nasycenia Żydami. To, co się dzieje u nas od lat kilkunastu wśród Żydów, przypomina bardzo żywo owo zjawisko chemiczne, polegające na tem, że skoro w płynie, znajdującym się w naczyniu o pewnej określonej objętości rozpuszczać będziemy sól, to proces rozpuszczania będzie możliwym tylko do granicy nasycenia.

Z chwilą gdy to nasycenie nastąpi, jeden więcej dorzucony kryształ wywoła odwrotny proces krystalizacji. Otóż Żydzi zaczęli się już u nas niewątpliwie krystalizować w *naród*. Ich agresywny nacjonalizm, zaznaczający się bardzo wyraźnie nietylko w Warszawie, gdzie posiada swoich wodzów naczelnych, ale i w pomniejszych środowiskach prowincjonalnych, postawił w ostatnich latach cały szereg niepokojących zagadnień na porządku dziennym życia polskiego.

Rozwiązanie tych zagadnień, najfałszywiej oświetlanych przez pozostającą na usługach Żydów prasę obcą, zwłaszcza nieprzychylną nam prasę niemiecką, pójść może dzisiaj w kierunku dwojakim.

Albo po wojnie zmiana ustroju politycznego w Rosji i zniesienie w niej raz na zawsze t. zw. „linji osiadłości“, której zaprowadzenie w swoim czasie sprowadziło do nas falę Żydów z Litwy i Rusi, wywoła w pierwszych zaraz latach pokoju odpływ ogromnej ilości żywiołu żydowskiego poza granice Królestwa, do Rosji centralnej i południowo-wschodniej, gdzie rozpuszczą się oni w basenie wszechrosyjskim i, stanowiąc tam nikły tylko % ogółu ludności, tem samem znihilują ostry u nas stan kwestji

żydowskiej na długie lata, albo też, wbrew oczekiwaniom, ludność żydowska, nie widząc dla siebie doraźnie pomyślnych konjunktur w nowej Rosji, będzie wolała pozostać „do czasu“ w starej Polsce, na stanowisku pośrednika pomiędzy „Europą centralną” a Wschodem. Odpływ jej będzie się wówczas dokonywał stopniowo, pod naciskiem konieczności ekonomicznych i zaostrzających się w Polsce warunków walki o byt.

Wszystko to zależy od ukształtowania się stosunków politycznych i gospodarczych pomiędzy poszczególnemi mocarstwami i w samych tych mocarstwach po wojnie i dzisiaj określić tego bliżej niepodobna. To pewne tylko, że *tertium non datur* — trzeciego poza temi dwoma rozstrzygnięcia kwestji żydowskiej, wobec zupełnego bankructwa programu asymilacyjnego, niema.

Asymilacja, zresztą, nigdy nie przybrała u nas charakteru procesu, z którym poważniej liczyćby się było można. Jako idea, nietylko nie wyszła ona poza rogatki Warszawy, ale i w jej obrębie nie dyfundowała nawet poza mózgi szczuplej garści inteligencji żydowskiej, która, przyswoiwszy sobie kulturę polską, z nią ra-

zem przejęła od Polaków skłonność do marzycielskich złudzeń i nierealnych koncepcji.

Wobec tego nie można brać asymilacji w rachubę przy rozważaniu stosunków, jakich widownią były i są nasze miasteczka prowincjonalne, odrutowane „ejrufami" i odgrodzone od życia polskiego nietylko murem przesądów, ale i świadomem dążeniem do zachowania na przyszłość nie już wyznaniowej, ale „narodowej" odrębności ciemnej masy żydowskiej *).

---

*) Poglądowo proces asymilacji można porównać z czynnością odsiewania ziarna w przetaku. Przy czynności tej ulatuje z wiatrem to, co lżejsze, więc plewa, właściwe zaś ziarno pozostaje, jako cięższe. Podobnie było z narodem żydowskim podczas długiej jego wędrówki. Znajdując się w rozmaitych ośrodkach narodowych, wszędzie pozostawiał on na rzecz tych ośrodków elementy, które, jako lżejsze, mniej odporne, łatwiej się „odsiewały" i ulegały procesowi asymilacji. Na dnie zaś „przetaka żydowskiego" pozostawało to, co miało ciężar gatunkowy i wagę absolutną, uniemożliwiającą połączenie się z narodem innym, czyli czyste, o ile może być dzisiaj mowa o jakiejkolwiek „czystości" rasowej, „ziarno żydowskie". To właśnie „ziarno" stopniowo było odsiewane w Polsce, poczynając od wieku XV-go, aż wreszcie odsiała je po raz ostatni reforma Wielopolskiego, gwarantująca Żydom równouprawnienie. Wówczas to pod wpływem prądu ideowego chwili uległy asymilacji jednost-

Co do tej masy, to, o ile wychodźtwo żydowskie do Rosji rozwinie się w prąd stały, można przewidywać pewien jej ubytek liczebny przez emigrację proletarjatu.

Dla miasteczek naszych będzie to zjawiskiem dodatniem, ale nie rozstrzygającem. Niepodobna bowiem rachować na to, aby i żywioł zamożniejszy, zdawna tam osiadły i posiadający swoje handle i nieruchomości, poszedł odrazu za nowemi hasłami i zlikwidował swoją własność bez głębokich i poważniejszych przyczyn ponad szukanie złotego runa na szerokich przestrzeniach Wschodu. Nie leży to zresztą w zwyczaju i taktyce Żydów, którzy naprzód wysyłają na emigrację forpoczty wywiadowcze, te zaś w następstwie dopiero, o ile teren okaże się korzystnym dla eksploatacji, ściągają innych.

Biorąc to pod uwagę, należy wnosić, że

---

ki najluźniej z żydostwem związane, natomiast najsilniej przez swoją kulturę umysłową, duchową i obyczajową lgnące do polskości. Czynność tego odsiewania skończyła się jednak rychło i w stosunku do mas żydowskich wyników pozytywnych nie dała. Okazało się mianowicie, że „ziarno żydowskie" jest jeszcze wśród tych mas dość ciężkie, aby mogło w przetaku odrębności pozostać. Jakoż pozostaje tam dotychczas.

emigracja posiadającego żywiołu żydowskiego powstać i rozwinąć się może dopiero z czasem na tle emulacji ekonomicznej ludności polskiej naszych miasteczek z ich ludnością żydowską.

Współzawodnictwo to, którego wzrostu należy oczekiwać bynajmniej nie wskutek rozwoju w kraju naszym antysemityzmu, ale wskutek prostych konieczności życiowych, zmuszających, jak się to stało w Poznańskiem, ludność chrześcijańską do bardziej egoistycznej troski o chleb dla siebie i dla pokoleń jutrzejszych, odegra w tym procesie rolę decydującą.

Starcie się na tem polu egoizmu handlowego żydowskiego z budzącym się do życia egoizmem handlowym polskim jest nieuniknione i — niezależnie nawet od stopniowego liczebnego zmniejszania się w naszym kraju ludności żydowskiej — będzie ono przez czas dłuższy wyciskało swoje charakterystyczne piętno na stosunkach małomiejskich.

Do normowania tych stosunków powołana jest przedewszystkiem gmina miejska, która, jako organ samorządny, reprezentujący interesy całej ludności miasteczka i złożony z przedstawicieli tych i innych jej odłamów, zajmować musi stanowisko bezstronnego i sprawiedliwe-

go rozjemcy pomiędzy stronami, które poważni walka o byt.

Rady miejskie i magistraty naszych miasteczek, niezależnie od swojego składu, który w jednych da większość chrześcijańską, w innych, jak tego mamy przykład już dzisiaj w Będzinie, większość żydowską, muszą jednak w zasadzie prowadzić politykę polską, z ducha i z dążeń swoich niezależną od uroszczeń niepolskich i wykluczającą jakąkolwiek możność rozwijania się pod jej skrzydłami czyichkolwiek agresywnych dążeń narodowych.

Zdawać sobie z tego sprawę powinni przedewszystkiem radni i ławnicy żydowscy, którzy, sięgając po równe prawa obywatelskie, muszą mieć świadomość tego, że i równe ciążą na nich obowiązki i równa odpowiedzialność za układ i rozwój stosunków.

Stosunki te, choćby najbardziej zadrażnione, wszędzie wprowadzać trzeba li tylko na grunt szlachetnego współzawodnictwa, uznanego i sankcjonowanego przez obie strony, jako konieczny wynik wytworzonych przez czas nowych konjunktur życia gospodarczego.

Żydzi muszą zgodzić się z tem, że okres ich wyłącznego przywileju na drobny handel w kraju minął bezpowrotnie, że odtąd każdy

mieszkaniec tego kraju ma równe z nimi prawo do szukania dla siebie sposobu do życia w pośrednictwie, do rozwijania swojej w tym kierunku energji, pomysłowości i ujawnienia zdolności organizacyjnych.

Z drugiej strony ludność polska nie może stać na stanowisku walki z Żydami dla samej walki, prowadzonej pod sztandarem wyznaniowych i narodowościowych przeciwieństw, ale również na stanowisku uprawnionego swojego współzawodnictwa w walce o byt i o wyższą kulturę z żywiołem, który uzna za współobywateli wówczas, kiedy spotka się z jego strony nie z dążeniem do Judeo-Polski, jak to trafnie określił Al. Świętochowski, ale z uznaniem i poszanowaniem polskich interesów polskiej ziemi, na której prawa każdego obcego przybysza były szanowane zawsze i będą nadal uszanowane o tyle, o ile nie naruszą praw Polaków do budowania własnego jutra według własnego przekonania i zgodnie z ich własnem *sumieniem polskiem*.

Z samego więc tylko zarysu sprawy żydowskiej w naszych miasteczkach widać, jak dalece pożądany jest w ich samorządzie udział inteligencji polskiej i żydowskiej, która potrafiłaby bez animozji stanąć oko w oko z zagadnienia-

mi chwili i szukać dla nich rozwiązania nie w demagogicznych programach, podniecających obustronnie mało oświecone tłumy przeciw sobie, ale — w przedmiotowej ocenie zjawiska, jakiem jest dzisiaj jeszcze konieczne z sobą współżycie na jednej ziemi i w jednem środowisku ludności różnolitej, nie dającej się w tyglu historji przetopić w jednolitą masę.

Rozbudzone poczucie państwowości polskiej, którego dzisiaj niema i być jeszcze nie może, okaże się zapewne nietylko doskonałym dla stron obu sprzymierzeńcem, ale i sprawdzianem dobrej woli każdej z nich; dopóki jednak poczucia tego niema, tem większej ostrożności i zgrabności wymagać będzie polityka każdej poszczególnej gminy małomiejskiej w stosunku do kwestji żydowskiej.

Poza ramami tej kwestji leży atoli cała jeszcze ogromna dziedzina spraw natury gospodarczej i kulturalnej, do których ogarnięcia i załatwienia potrzeba również ludzi światłych, zdających sobie jasno sprawę z potrzeb i stosunków nietylko miejscowych, ale i ogólnokrajowych.

W tym względzie polityka gminna rozpada się na szereg zasadniczych działów.

Dział pierwszy, w chwili obecnej najżywot-

niejszy, największej wymagający troski ze strony ciał samorządnych—to dział *zdrowia publicznego.*

Ogromna większość naszych miasteczek ma w tej dziedzinie do uczynienia literalnie wszystko, zaczynając od zaopatrzenia się w dobrą wodę do picia i zaprowadzenia kanalizacji, kończąc na szpitalnictwie, które należy nietylko zreformować, ale w znacznej ilości przypadków stworzyć od nowa, zgodnie z nowoczesnemi wymaganiami.

Wysiłek materjalny w tym kierunku musi być wielki, ale do tego, aby on mógł nastąpić, potrzebna jest *świadomość,* że wydatki na cel zdrowia publicznego są wydatkami produkcyjnymi, które sowicie opłacą się miasteczku.

Mieszkańcy naszych miasteczek świadomości tej dotychczas nie posiadają. Trzeba ją dopiero wśród nich budzić, trzeba zdejmować im przepaskę z oczu, trzeba mało oświeconą ludność chrześcijańską i zapleśniałą w swoim konserwatyzmie z przed wieków ludność *ghetta* żydowskiego podnieść do zrozumienia zasad, na jakich opiera się życie zbiorowe i gospodarka gminy miejskiej, i trzeba dla tych zasad niemal oskardem i kilofem torować drogę wśród uprzedzeń i zakamieniałych przesądów.

W tej dziedzinie pracy społeczno-gospodarczej w miasteczku niezbędny przeto jest również udział inteligencji i to w rozmiarach znacznie szerszych, niż to było możliwe dotychczas.

Z kolei narzucić się musi naszym gminom małomiejskim, jako jedno z najważniejszych zagadnień doby powojennej—zagadnienie polityki terenowej i komunikacyjnej.

Dotyczy to przedewszystkiem miasteczek, położonych, w promieniu 5—6 mil od wielkich ośrodków przemysłowych, jak Warszawa i Łódź.

Dla tych dwu miast kwestją niesłychanej wagi jest sprawa miast-ogrodów. Zanim jednak *garden-cities* powstaną na wzór angielski i amerykański w najbliższem sąsiedztwie miast wielkich, zanim wyrosną, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej polskie Bournville'e, Port Sunlight'y i Letchworth'y, rolę ich z powodzeniem mogą odgrywać do czasu małe miasteczka, leżące bądź przy istniejących linjach kolejowych, bądź połączone z Warszawą za pomocą szybbiej trakcji elektrycznej. Do miasteczek takich należą: Góra Kalwarja, Piaseczno, Grójec, Nadarzyn, Sochaczew, Tarczyn, Błonie, Pruszków, Grodzisk, Skierniewice, Nowy Dwór, Nasielsk, Serock, Radzymin, Wyszków i t. d.

Niejedno z nich posiada warunki, nietylko odpowiednie do tego, aby towarzystwa budowy tanich domów robotniczych mogły operować na ich terenach, ale również i do tego, aby przez prowadzenie odpowiedniej polityki przeistoczyć się w małe ogniska przemysłowe. Dom robotniczy z własnym ogrodem warzywnym wtedy bowiem nabierze dopiero siły przyciągającej i stanie się magnesem dla ludności pracowitej i zabiegliwej, osiadającej w miasteczku na stałe.

Są takie gałęzie przemysłu, zwłaszcza drobnego, które bynajmniej nie potrzebują dla istnienia swojego Warszawy, ale z powodzeniem mogłyby rozwijać się poza jej obrębem.

Są również całe szeregi rzemieślników, którzy mogliby mieć swoje warsztaty i pracować w znacznie lepszych warunkach zdrowotnych w małych miasteczkach, korzystając nietylko z lepszego powietrza, ale i z tańszych znacznie produktów, byle tylko raz na tydzień mogli łatwo i tanio dostać się do Warszawy, robotę wykonaną oddać przedsiębiorcy, dla którego pracują, i nowe zamówienia zawieźć do domu.

Do rzemieślników takich należą krawcy, szewcy, zwłaszcza t. zw. kamasznicy, stolarze, blacharze, ślusarze, szmuklerze, guzikarze i t. p.

Mając to na względzie, gminy małomiejskie przez odpowiednią swoją politykę terenową, komunikacyjną i przemysłową dążyć powinny przedewszystkiem do zdobycia należytych połączeń komunikacyjnych z wielkiem miastem i odpowiedniej siły motorowej, a więc gazu lub elektryczności na użytek warsztatów rzemieślniczych.

Gdy jedno i drugie posiądą, wówczas przenoszenie się do miasteczek nietylko poszczególnych rzemieślników, ale i całych zakładów przemysłowych, oczywiście takich, które nie psują powietrza i nie zanieczyszczają okolicy odpadkami swojej produkcji—stanie się zupełnie możliwem.

Dlaczego np. w Piasecznie lub Nadarzynie nie miałaby w przyszłości istnieć wielka drukarnia, dajmy na to, *Macierzy Szkolnej?*

Wiadomo, że mały Bytom zcentralizował u siebie druk wielu tanich wydawnictw, zwłaszcza książek do nabożeństwa, i doskonale na tem wyszedł, jako miasto, a przypuszczać należy, że również dobrze wyszli na tem i pracownicy drukarscy, którzy może mniejszą otrzymują tam zapłatę za swoją pracę, ale żyją bez porównania lepiej, zdrowiej i taniej w małem prowin-

cjonalnem mieście, niż wyżej płatni ich towarzysze w wielkich środowiskach.

Nie będziemy tu rozszerzali się nad tem, czem są rzemiosło i przemysł dla miasteczka, jakie wprowadzić mogą do niego ożywienie, jak w krótkim czasie życie jego przeistoczyć. Kładziemy tylko nacisk na to, że inicjatywa rzutkość i przedsiębiorczość gminy małomiejskiej mogą w tej mierze uczynić niejedno.

Zapewne, wiele będzie miasteczek takich, które spokojnie oczekiwać będą, aż dojrzały owoc z drzewa nowego życia spadnie sam do ich kosza—niech jednak nie zbraknie i takich, które potrafią wyjść same naprzeciw temu życiu i zawczasu przygotować się do oczekującej je roli, nie rezygnując przytem bynajmniej z sumiennego spełniania zadań, jakie pozostawia im w puściźnie po sobie przeszłość, która je powołała przedewszystkiem do zaspokajania potrzeb wsi polskiej.

A w tej mierze, zwłaszcza dla miast, odleglejszych od wielkich gościńców nowoczesnego życia kulturalnego, niejedno jest jeszcze do zrobienia.

Przedewszystkiem i one muszą zabiegać o zdobycie dla siebie dobrych połączeń komunikacyjnych, o koleje magistralne i podjazdowe,

oraz o szosy, których brak jest jeszcze bardzo dotkliwym dla naszego kraju.

Dla miasteczek zaś, leżących nad spławnemi rzekami, niepospolite posiada znaczenie sprawa regulacji tych rzek, niejedno z nich bowiem może się stać przez to ważnym punktem handlowym, jako port rzeczny, zwłaszcza w handlu zbożowym, drzewnym i węglowym.

Sprawy te, z istoty swojej ogólno-krajowe, wchodzą jednak także w sferę polityki ekonomicznej poszczególnych miast i miasteczek, a głos ich w tej mierze domagać się będzie zawsze pilnego przez naczelną władzę krajową wysłuchania aż do chwili, póki sieć komunikacyjna w Polsce nie będzie tak gęsta, iżby poza jej obrębem nie było ani jednego większego ogniska życia i pracy.

Równolegle z osiąganiem tych podstawowych dla szerszego rozwoju gospodarczego zdobyczy iść jednak musi praca kulturalna w warunkach istniejących, których twardość winien łagodzić i zmniejszać trwały wysiłek obywatelski mieszkańców miasteczka.

I tu polityka każdej gminy poszczególnej do tem lepszych doprowadzi wyników, im więcej gmina ta okaże inicjatywy i przedsiębiorczości.

Od gminy w znacznej mierze zależeć bę-

dzie przedewszystkiem uposażenie miasteczka w takie szkoły, aby wystarczały one nietylko na potrzeby ludności małomiejskiej, poprzestającej na wykształceniu elementarnem, ale zaspokajały także potrzeby miejscowej inteligencji, oraz okolicznych ziemian i włościan, którzy dzisiaj wysyłają dzieci swoje do miast gubernjalnych i do stolicy, narażając się na rozłąkę z niemi i na znaczne koszty.

Ustalenie typu szkoły średniej dla miast powiatowych i miasteczek zależy oczywiście od ogólnego ustroju szkolnictwa polskiego na naszych ziemiach i od tej reformy, jakiej wymagać będą zmienione warunki i duch nowego życia. Prawidłowy jednak podział szkół ogólnokształcących i zawodowych, zwłaszcza rolniczych i technicznych, pomiędzy poszczególne ośrodki życia, zależeć będzie nietylko od naczelnych władz oświatowych w Polsce, rozstrzygających o tem przy biurku, ale i od głosu żywego miast i miasteczek, dopominających się o zaspokojenie swoich potrzeb i ujawniających ze swej strony gotowość do subwencjonowania szkół prywatnych i rządowych, o ile te w ich obrębie powstaną.

Polityka gminna i tu więc ma ważkie swoje słowo do powiedzenia.

Samowystarczalność miasteczka pod względem zaspokojenia zasadniczych potrzeb kulturalnych swoich mieszkańców stanowi dalej jeden z najważniejszych celów pracy kulturalnej gminy małomiejskiej, która powinna zdawać sobie sprawę z tego, że mieszkańcy ci będą zadowoleni i przestaną emigrować do większych środowisk życia tylko wówczas, o ile życie ich na miejscu nie będzie w rozdźwięku z ich potrzebami, przyzwyczajeniami i dążeniami.

Stąd gminy małomiejskie muszą baczyć na to, aby w miasteczku istniała dobrze zaopatrzona bibljoteka miejska i resursa obywatelska z salą, odpowiednią do urządzania w niej zebrań politycznych, odczytów, konferencji i przedstawień teatralnych; dom ludowy z halą gimnastyczną dla miejscowego „Sokoła" i wogóle takie instytucje pożytku ogólnego, aż do muzeów miejskich włącznie, które skupiają ludzi poza ich pracą zawodową, łączą ich na terenie towarzyskim i wpływają korzystnie na rozwój w nich pierwiastków życia społecznego i obywatelskiego.

Wówczas dopiero miasteczka nasze będą mogły stanąć do wszechstronnej pracy kulturalnej i wziąć czynny udział w ogólno-narodowym wysiłku tworzenia nowego życia.

Rozpęd zaś tego życia zależy w znacznej mierze od tego, jaka będzie liczba tych jego ośrodków, które potrafią w życiu ogólnem wziąć udział odpowiedni i należycie rolę swoją w stosunku do całości pojmą i określą.

Do gminy małomiejskiej należy tedy przedewszystkiem określenie stanowiska danego miasteczka w organizmie gospodarczym kraju, właściwa ocena jego roli ekonomicznej w zakresie wytwórczym i spożywczym, oraz takaż ocena stosunku jego do okolicy, jej bogactw i zasobów, jej życia społecznego i kulturalnego. Do charakteru i postaci tego życia miasteczko musi się bowiem dostosować, o ile chce nietylko iść z niem ręka w rękę, ale życiu temu przewodniczyć, nadawać mu ton i rozwijać je w następstwie w myśl swoich własnych potrzeb.

Inna więc musi być polityka gospodarcza i kulturalna miasteczka, położonego w okolicy czysto rolniczej, inna w okolicy przemysłowo-fabrycznej, inna tam, gdzie jest gęsta sieć linji kolejowych, inna, gdzie brak jeszcze odpowiednich arterji dla ruchu towarowego.

Na tem tle nastąpić musi zróżnicowanie się typu naszych miast małych i ich indywidualizacja, która doprowadzi kiedyś do zgoła

innego, niż dzisiejszy, podziału administracyjnego Królestwa.

Podział ten oddawna nie odpowiada potrzebom kraju i niejednokrotnie stoi w sprzeczności z elementarnymi postulatami logiki administracyjnej *).

Nowy podział oprze się prawdopodobnie nie na *gubernjach*, narzuconych nam przez administrację rosyjską, ani nawet nie na dawnych, miłych pamięci polskiej *województwach* lub *departamentach*, ale na *ziemiach* lub okręgach, zależnie od ich charakteru geograficznego i ekonomicznego. W podziale zaś ziem *powiat* odegra rolę najważniejszą w całym ustroju administracyjnym. Liczba miast powiatowych będzie powiększona, przyczem każde miasto powiatowe, o ile to tylko okaże się możliwem, znajdzie się w rzeczywistem centrum powiatu, nie na jego krańcach, jak to bywa dzisiaj. W ten sposób niejedno z zapomnianych i na uboczu leżących miasteczek podniesione zostanie do rangi poważnego ośrodka w administracyjnem,

---

*) Teodor Toeplitz. Nowy podział administracyjny Królestwa Polskiego. Myśl Polska. Zeszyt IV—V r. 1917 i w oddzielnej odbitce.

a tem samem w gospodarczem i kulturalnem życiu kraju.

Ośrodków miejskich mamy w Królestwie do rozporządzenia, jak wiemy, 474, w tem 43 miasta z ludnością ponad 10 tysięcy. Z pozostałych 431 na razie przynajmniej 100 posiada zupełnie pomyślne warunki rozwojowe, których wyzyskanie nie napotka w najbliższej przyszłości poważniejszych przeszkód. Ale i pozostałych nie należy spuszczać z oka w myśl godnych zapamiętania przez Polskę współczesną słów Nixona Watermana:

„Każdy zakątek świata czeka na ludzi dzielnych, którzyby go zamienili w miłą siedzibę ludzką“.

Na ludzi takich czeka cały nasz kraj. Pod próg naszego domu podchodzi fala nowego życia. Z burzy dziejowej wyłania się jaśniejszy dla nas płat nieba. Krwawe zapasy międzynarodowe nie są jeszcze skończone, ale z ogólnych konjunktur politycznych świata, z powszechnego już dzisiaj tryumfu wielkiej idei demokratycznej, wróżyć można, jeżeli nie całkowicie — w myśl tęsknot i marzeń ojców i dziadów naszych — pomyślną przyszłość naszej Ojczyzny, to, w każdym razie, zerwanie i rozsadzenie raz na zawsze tych ogniw łańcu-

cha naszej niewoli, które skuwały nas najmocniej i najbrutalniej krępowały rozwój naszego życia.

Życie to, niezależnie od takiego czy innego układu stosunków europejskich i ogólnoświatowych po wojnie, oprzeć się musi w Polsce przedewszystkiem na pracy i wysiłku, na odbudowie i przebudowie Ojczyzny, której bolesne dla nas uwstecznienie i opóźnienie musimy co rychlej wyrównać.

Wówczas dopiero będziemy mogli myśleć o szerszym oddechu i o spełnieniu naszego cywilizacyjnego posłannictwa w granicach, przekazanych nam przez Historję.

Pisałem w Sokołowie ziemi sieradzkiej
w lipcu 1917 r.

POLITECHNIKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Str.

Na gruzach i pogorzeliskach. Odbudowa i przebudowa 1

Głos przeszłości 17

Żydzi 51

Miasteczko a wieś 82

Inteligencja małomiejska 94

Stan urzędniczy na prowincji i wychodźcy z miast wielkich, jako czynniki kultury 104

Ambicje małomiejskie 118

Polityka gminy małomiejskiej 132

POLITECHNIKA ŚLĄSKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Gliwicach

×KSIĘGARNIA×
ANTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
30
E ✻ 340435

BG Politechniki Śląskiej
nr inw.: 102 - 147445
Dyr.1 147445

W Y
GEBE

Drexler Ig. C
szej . .
Fassbenter E
o budowie miast. Tłóm. inż. Ig. Menasche
i dr. f. A. Danysz 2.80
Feliński R. inż. Budowa miast z ilustr. i planami
miast 3.20
Grabowski E. Podręcznik statystyki . . . . . 3.—
Korotyński W. Dawne rady miejskie i powiatowe 1.50
Koskowski B. Polityka gminna . . . . . 3.—

WIEŚ I MIASTECZKO

MATERJAŁY DO ARCHITEKTURY POLSKIEJ I.

Wydawnictwo nasze, powstaje pod wpływem Wystawy architektury polskiej, urządzonej w r. 1915 staraniem koła Architektów i Towarzystwa Opieki nad Zabytkami Przeszłości w Warszawie, ma na celu odtworzenie najcelniejszego materyału z pośród plonu wystawy, materyału dopełnionego reprodukcyami, które zbiegiem okoliczności znalazły się w posiadaniu organizatorów Wystawy już po jej zamknięciu. Ilustracye te, ugrupowane w układzie dzielnicowym w 532 reprodukcjach zawartych we

„WSI I MIASTECZKU",

stanowią zbiór najwybitniejszych, typowych zabytków budownictwa rodzimego w znacznej części już nieistniejących, lub zniszczonych przez zawieruchę wojenną.

CENA in 4-o, NA WYKWINTNYM PAPIERZE MK. 20.—
W OPRAWIE MK. 27.50.

WYDANIE ZBYTKOWNE. NA PAPIERZE KREDOWYM MK. 30
W OPRAWIE MK. 37.50.